Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok X. Warszawa, 3 października 1954 r. Nr 40 (462)

CHRZEŚCIJAŃSTWO A POSTĘP

(Przemówienie BOLESŁAWA PIASECKIEGO na VII Zjeździe Unii Chrześcijańsko – Demokratycznej NRD)

DEMOKRATYCZNA jedność narodu niemieckiego umacniająca pokój i postęp społeczny w Europie jest programem i nadzieją wszystkich twórczych sił ludzkości. Historia NRD nakreśla nie tylko jedynie słuszną, realną drogę do szczęścia i rozwoju Niemiec. Każdy, kto rozumie, że przyszłości narodów nie można oddzielić od sprawy utrzymania pokoju na świecie rozumie także, że w miarę zwyciężania ideowo politycznej linii NRD w całym społeczeństwie niemieckim, rośnie potężny sojusznik sprawy jego własnego kraju. Zagadnienia te są specjalnie jasne i ostro rozumiane i widziane w całej Polsce, która łączą przyjazne i dobrosąsiedzkie stosunki z NRD. Każdy protest mas niemieckich przeciwko polityce neohitleryzmu wywołuje u nas szeroki oddźwięk. Wszyscy Niemcy odsuwający się od coraz bardziej szalonej i samobójczej polityki Adenauera bez względu na ich przekonania polityczne są witani w Polsce jako sojusznicy wspólnej, szerokiej sprawy bezpieczeństwa zbiorowego. Nazwiska przywódców postępowych sił niemieckich są w naszym kraju powszechnie znane, a działalność ich otaczana przyjaźnią i wiarą.

Jesteśmy delegacją ruchu społecznie postępowego katolików polskich przybyłą na VII Zjazd Chrześcijańskiej Unii Demokratycznej. Oprócz powszechnej dla wszystkich obywateli naszych narodów słusznej sprawy pokoju i postępu łączy nas zagadnienie roli chrześcijaństwa w rozwiązywaniu historycznych problemów czasu. Wielka i odpowiedzialna jest rola postępowych społecznie ruchów chrześcijańskich w państwach budujących socjalizm. Naszym zadaniem jest sprawić, by wielość światopoglądów w jednym narodzie pogłębiała i wzbogacała jedność obywateli, by inspiracja światopoglądu religijnego wydobywała z ludzi wierzących potężne siły dla sprawiedliwego budownictwa gospodarczego i społecznego. Naszym zadaniem jednocześnie jest dokonać, by w miarę coraz większego udziału ludzi wierzących w pokojowym budownictwie obozu postępu coraz jaśniej rysowała się twórcza rola chrześcijaństwa w nowych czasach. Trzeba jasno stwierdzić, że mamy wielkie osiągnięcia teoretyczne i praktyczne za sobą. W krajach naszych znaczna część duchowieństwa i olbrzymia większość ludzi wierzących świadczy codziennym czynem i codzienną pracą, że potrafi świadomie twórczo łączyć miłość Ludowej Ojczyzny z miłością religii. Skupieni wokół prawdziwie narodowej polityki swych rządów ludzie wierzący w Polsce i w NRD są świadomi, że są ważnym czynnikiem budowy szczęśliwej przyszłości swej Ojczyzny i odrodzenia społecznego całego chrześcijaństwa.

Jest niewątpliwym naszym zadaniem przyspieszać, pogłębiać rewizję poglądów społecznych chrześcijaństwa. Haniebna i hołesna jest rola chrześcijańskich demokracji na zachodzie Europy, haniebna, gdyż nadużywa ideałów chrześcijańskich dla polityki wojny, grabieży, wyzysku. Bolesna jest rola chrześcijańskich demokracji dla nas, ludzi wierzących, gdyż fałszywym programem wiąże siły społeczne chrześcijan, którzy w olbrzymiej większości na pewno starają się uczciwie kochać swoją religię. Jest naszym obowiązkiem dopomóc wszelkimi sposobami chrześcijanom z Zachodu do zawrócenia z drogi jednoczesnej zdrady ideałów chrześcijańskich i przyszłości własnych narodów. Adenauer nie może być symbolem roli społeczno-politycznej chrześcijaństwa we współczesnym świecie. Aby trafić do sumienia i rozsądku chrześcijan zachodnio-europejskich trzeba odpowiedzieć na pytanie: dla jakich przyczyn ekspansja jakościowa i ilościowa obozu pokoju obejmować będzie coraz większe masy chrześcijan na świecie.

Ekspansja obozu pokoju ma podwójny charakter — ilościowy i jakościowy. Wszystkie wielkie alternatywy ideologiczne naszej epoki skupiły się w jednej: pokój czy wojna. Sprzeciw narodów wobec amerykańskich wysiłków rozpętania nowej wojny ma wielorakie źródła. U jednych jest nim umiłowanie socjalistycznego budownictwa, u drugich bądź wola zdobycia suwerenności, bądź korzystania z prawa suwerenności narodowej. Jednych ludzi mobilizuje do walki z zagrożeniem wojny obawa przed katastrofą cywilizacyjną, drugich odraza moralna przed nieuniknionymi w wypadku działań wojennych zbrodniami jeszcze gorszego wydania amerykańskiego faszyzmu niż hitleryzm. Zwiększająca się proporcjonalnie do demaskowania się celów i środków imperializmu amerykańskiego liczba motywów walki z perspektywą wojny sprawia, że masy w skali ludzkości tworzą coraz większą potęgę skupioną pod najbardziej ogólnym, ale też najbardziej zrozumiałym hasłem obrony cywilizacji światowej. Taka jest dynamika ilościowa obozu pokoju.

Jednocześnie postępuje w masach miłujących pokój proces jakościowy. Ludzie, którzy chcą bronić cywilizacji światowej przed zagładą z przyczyn czy to utrzymania poziomu moralnego czy materialnego życia, w krajach obozu pokoju dostrzegli, a w krajach kapitalistycznych dostrzegają związek swej postawy z walką o godność narodową i wyzwolenie narodowe. Potem następuje proces rozumienia, że postawa patriotyczna, jeśli ma być skuteczna, musiała i musi prowadzić do udziału w walce o wyzwolenie społeczne klas wyzyskiwanych, które są przygniatającą większością narodową. Stąd intelektualna i moralna konsekwencja prowadzi do socjalizmu, do aktywnego udziału w budownictwie socjalistycznym. Proces ten sprawia, że dynamika ilościowa i jakościowa obozu pokoju jest najbardziej twórczą dźwignią historyczną postępu ludzkości.

Konsekwencje całości przeprowadzonych rozważań nakazują postawienie tezy o nieuchronnym włączaniu się światowego katolicyzmu i chrześcijaństwa w obóz pokoju. Proces ten odbywa się wśród konfliktów, nie jest sielankowy, a jest wynikiem świadomej, zaostrzającej się walki wewnętrzno-chrześcijańskiej prowadzonej przez duchowieństwo i świeckich miłujących religię i swój naród. Tym niemniej można już teraz powiedzieć, że on będzie reprezentatywny historycznie dla całości chrześcijaństwa, że masy chrześcijan będą w coraz szerszym zasięgu uczestniczyć w dynamice ilościowej i jakościowej obozu pokoju. Dlaczego? Historyczną perspektywę funkcji społecznych chrześcijaństwa wyznaczają dwa zjawiska. Jednym z nich jest narastanie przekonania o niedopuszczalności doktrynalnej i praktycznej dalszego wspierania kapitalizmu nawet postawą neutralną wobec spustoszeń, których jest on przyczyną. Drugim zjawiskiem jest skoncentrowanie procesów odrodzeńczych chrześcijaństwa wokół zagadnienia jego funkcji społecznej. Wewnętrzne procesy odrodzeńcze wydobywają z pełni doktryny chrześcijańskiej zadanie ulepszania świata doczesnego i zmierzają do przywrócenia chrześcijaństwu porzuconego przezeń miejsca w postępie ludzkości.

Przed jakimi stąd wynikającymi problemami stoi chrześcijaństwo? Żądania kapitalizmu wzrosły. Nie wystarcza mu już, aby chrześcijaństwo rozładowywało i hamowało procesy wyzwolenia społecznego, by upiększało moralnie spokój posiadania. Kapitalizm w fazie imperializmu wymaga od religii chrześcijańskiej współudziału w przygotowywaniu wojny ludobójczej. Wymaga poparcia kosmopolityzmu mniejszości klasy wielkiej burżuazji przeciw narodowej postawie mas robotniczych, chłopskich, drobnej burżuazji. Imperialistyczny kapitalizm wymaga od chrześcijaństwa osłaniania indyferentnej religijnie i ideologicznie mniejszości, i zlekceważenia uprawnionych potrzeb materialnych i kulturalnych mas narodowych, które właśnie składają się w ogromnym stopniu z wiernych wyznawców religii. Choć żądania wzrosły i wzrastać będą, świadczenia kapitalizmu na rzecz religii pozostają te same. Sprowadzają się one do faktycznego braku konkurencji filozoficznej i etycznej. Wartość tych świadczeń zdezawuowała historia. Formalnie popierająca religię frazeologia rządów kapitalistycznych dała obiektywną dechrystianizację człowieka.

Świat socjalistyczny zarówno w swym historycznym pochodzie jak i w wyrazie ideologicznym sił kierowniczych jest intencjonalnie ateistyczny. Nie ofiaruje on chrześcijaństwu bezpieczeństwa ideologicznego, przeciwnie — zapowiada zwycięstwo laickiej koncepcji świata. Czego świat socjalistyczny żąda od katolicyzmu? Poparcia sprawy pokoju, poparcia wyzwolenia społeczno-gospodarczego i narodowego. Intencjonalnie ateistyczny świat socjalistyczny domaga się od chrześcijan obiektywnego realizowania konsekwencji społecznej doktryny chrześcijańskiej.

Dla obozu pokoju zagadnienie myśli i pracy mas ludzi wierzących jest kwestią nie o znaczeniu taktycznym, ale sprawą strategii w walce z wojennymi planami imperializmu. Coraz większa obecność mas ludzkich w obozie pokoju, obecność, do której doszło pod wpływem motywów światopoglądowych, ma znaczenie nie tylko ilościowego zwiększenia sił własnych, ale i jednoczesnego osłabienia przeciwnika. Partie klasy robotniczej wprawdzie nie odczuwają potrzeby społecznej moralności chrześcijańskiej stosując swą własną moralność klasową, jednak światowa potęga obozu pokoju wymaga nie tylko liczby chrześcijan, ale przede wszystkim wysokiej jakości ich pracy.

Rolą chrześcijaństwa w światowym obozie pokoju jest zadanie potężnego łącznika między rozwojem wielkich dzieł społecznych naszej epoki a rozwojem milionów wierzących ludzi budujących te dzieła. Rola ta wzbogaca i dzieło, i człowieka.

Z całego świata dobiegają zarówno intelektualne jak praktyczne przejawy rewizji poglądów społecznych chrześcijaństwa, które swymi prawdziwymi wartościami musi się przeciwstawiać uwikłaniu klasowemu i kapitalistycznemu. Im bardziej bezwzględne, nie mające nic wspólnego z szerokością poglądów uniwersalizmu chrześcijańskiego, im częstsze nadużywanie doktryny religijnej dla prześladowania społecznie postępowej postawy ludzi wierzących, tym powszechniejszym i silniejszym wstrząsom podlega współżycie chrześcijaństwa z kapitalizmem. Dlatego chrześcijaństwo będzie coraz silniej rozsadzało społeczności związane ze światem kapitalistycznym. Nie da się bowiem oddzielić zagadnienia rewizji postawy społecznej chrześcijaństwa od praktyki życia w krajach kapitalistycznych i kolonialnych.

W oparciu o zarysowaną szeroką perspektywę wiązania się naturalnych procesów społecznego odradzania chrześcijaństwa z obozem pokoju i postępu łatwo jest dostrzec ważną rolę i szansę CDU. Rozwijanie świadomości społecznej sumienia chrześcijańskiego u wszystkich ludzi wierzących w Niemczech musi dać w konsekwencji pogłębienie sprzeciwu całego narodu niemieckiego wobec prób wciągania go w samobójczą wojnę agresywną. Przekazanie w kategoriach miłości chrześcijańskiej zwycięskich historycznie idei wyzwolenia społecznego i narodowego, idei, których kuźnią jest myśl i praca narodów Związku Radzieckiego, ułatwi niewątpliwie zrozumienie wszystkim wierzącym ludziom w Niemczech, kto jest prawdziwym przyjacielem ich kraju. Jest rzeczą niewątpliwą dla wszystkich kochających Ojczyznę i chrześcijaństwo ludzi, że linia ideowo-polityczna CDU w NRD jest jedyną słuszną drogą wszystkich chrześcijan niemieckich.

W oparciu o wspólne rozumienie doniosłej dla szczęścia narodów roli chrześcijaństwa w obozie postępu i pokoju, w oparciu o przyjaźń, która łączy postępowe siły chrześcijańskie w Polsce Ludowej i w Niemczech, która łączy naszych działaczy specjalnie z osobami Wice-Premiera — Otto Nuschkego i Sekretarza Generalnego — Geralda Goettinga pragnę przekazać Zjazdowi w imieniu społecznie postępowego ruchu katolików polskich życzenia twórczych obrad.

Jest życzeniem nie tylko katolików polskich, ale jest wiarą i nadzieją wszystkich ludzi troszczących się o chrześcijaństwo, aby jak najszybciej nie Adenauer, a linia ideologiczna CDU w NRD była w pełni reprezentatywna dla chrześcijan niemieckich na wschodzie i zachodzie waszej Ojczyzny.

Bolesław Piasecki

ANDRZEJ KRASIŃSKI

W STRONĘ DYSKUSJI

BYĆ może niejednego zdziwi fakt, że tych parę refleksji na temat aktualnych w naszym życiu kulturalnym spraw zacznę od Gombrowicza. Czynię to nie tylko dlatego, że właśnie teraz wpadły mi w rękę pisane przez niego na emigracji „Fragmenty Dziennika".

Jest po temu inna jeszcze racja, nie tylko prosty zbieg okoliczności. Sądzę mianowicie, że wbrew pozorom ten zagubiony (i wcale nie usiłujący się odnaleźć) pisarz może się w tych rozważaniach przydać jako krańcowy przykład pewnej postawy wobec twórczości i w ogóle wobec świata; krańcowy zarówno rozmiarami swego talentu jak i ostrością schorzeń jakie ucieleśnia, krańcowy wreszcie w sensie historycznym, jaki zamyka bowiem pewien okres wybujałego indywidualizmu mającego początek jeszcze w XIX wieku.

W swych „Fragmentach Dziennika" objawia się on już wcale nie jako ten znany elicie intelektualnej przed wojną niesforny postrzeleniec. Do jego dawnych cech dołącza się ton pełnego megalomanii apostoła, co w rezultacie daje kombinację nieznośną nawet dla tych, których bawiły jego koncepty, i którzy lubili w jego paradoksach odkrywać głęboko ukryte ziarnka prawdy. Z przerażeniem odkrywamy Gombrowicza-teoretyka, okazuje się, że jest metoda w tym szaleństwie. Duch przekory został skodyfikowany. Ten, który buntował się przeciwko wszystkim regułom i koncepcjom zaczyna sam tworzyć formułki i recepty. Oto jedna z nich, mówi ona jak opanować sztukę pisarską:

„Wejdź w sferę snu.

Po czym zacznij pisać pierwszą lepszą historię jaka ci przyjdzie do głowy i napisz ze 20 stron. Potem przeczytaj.

Na tych 20 stronach znajdzie się może jedna scena, kilka pojedynczych zdań, jakaś metafora, które wydadzą ci się podniecające, napisz więc wszystko jeszcze raz starając się, aby te podniecające elementy stały się osnową — i pisz nie licząc się z rzeczywistością, dążąc tylko do zaspokojenia potrzeb twojej wyobraźni...

I wszystko zacznie ci się pod palcami zaokrąglać mocą własnej swojej logiki — sceny, postacie, pojęcia, obrazy zażądają swego dopełnienia i to, co już stworzyłeś, podyktuje ci resztę".

Czy można zbagatelizować tę postawę twierdząc, że jest zbyt absurdalna aby mogła być niebezpieczna? Oczywiście, nie. Nie jest to bynajmniej tylko niewinna zabawa czy poszukiwanie oryginalności.

Zza tych zdań (szczególnie w kontekście dziennika) wyłania się pewna koncepcja sztuki. Sztuki pasożyta czy nowotwora, który rozwija się kosztem ludzkich spraw i w końcu te sprawy całkowicie zabija. Co gorsza, ten groźny spisek przeciw kulturze chciałby ukryć się pod pozorami obrony „osobowości". Gombrowicz mówi: „Nie pozwólcie, aby idea rosła w was kosztem osobowości". Zatem to, co zawsze w różnych postaciach dawało człowiekowi siłę i płodność, to, co organizowało rozproszone poczynania ludzkie, co było siłą napędową kultury i jej kośćcem, to ma rzekomo stanowić zagrożenie osobowości.

Na przekór historii (na przekór etymologii nawet) kultura miałaby być stepem nieruszonym świadomą ręką ludzką.

Łatwo odkryć źródła tego nowego barbarzyństwa. Są bardzo „kulturalne", wyrafinowanie „kulturalne". Zaczęło się bardzo niewinnie od humanistycznego w swych założeniach indywidualizmu, ale niebawem prąd ten zwrócił się przeciwko braterstwu między ludźmi.

Historia schyłku burżuazyjnego porządku jest historią agonii tego braterstwa. Bo powstaje ono tylko wokół wspólnej sprawy, nawiązuje się we wspólnym budowaniu i tworzeniu, w braniu pod uprawę coraz to nowych połaci stepu. Toteż gdy ów świat, zajęty wyłącznie troską konserwacji wygodnego dla posiadających porządku, przestał cokolwiek budować, braterstwo wypisane na jego sztandarze stało się pustym dźwiękiem, podobnie jak inne hasła rewolucji francuskiej.

Jeśli mówiłem tu o Gombrowiczu to bynajmniej nie dlatego, abym sądził, że dziś w Polsce jego „teoria kultury" może mieć choć jednego poważnego zwolennika. Życie samo zbyt bezwzględnie wyszydziło i przekreśliło ostatecznie podobne zapatrywania. Ich krańcowość sama oskarża je tak dalece, że można powstrzymać się od komentarzy i polemiki. Nie jest natomiast powszechnie utwierdzone przekonanie, że Gombrowicz wyraża konsekwentne rozwinięcie i niejako ostateczną metę wszystkich oderwanych od społecznego podłoża koncepcji sztuki i kultury.

Nie sposób bowiem zaprzeczyć, że istnieją u nas tęsknoty (uświadomione lub nie), istnieje ciążenie złych tradycji ostatnich dziesiątków lat. One to w jakiejś mierze przeszkadzają w urzeczywistnianiu się nowej wolności twórczej. Bo warunkiem rozwoju wolności jest przezwyciężenie anarchii.

Jeśli dziś we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego toczą się dyskusje, jeśli poddaje się krytyce naszą współczesną twórczość, wytyka się jej niedomagania i braki, to po to, by kroczyć naprzód a nie cofać się. Ważne jest więc ustalenie niewzruszonej postawy wyjściowej dla tych dyskusyj.

Krytyka może przynieść owoce tylko wówczas, gdy będzie tkwić mocno w kontekście tego wszystkiego, co przez 10 lat ostatnich w Polsce się dokonało i co dokonywa się nieustannie. — Człowiek dzisiejszy nie wyrasta w sztucznym konflikcie ze zbiorowością, lecz przeciwnie: dojrzewa i rozwija się pogłębiając swoją łączność z tą zbiorowością. Ów związek nie ogranicza wewnętrznego życia jednostki, ale właśnie je wzbogaca. Sztuka musi wyciągnąć pełne konsekwencje z tego faktu.

Z tego punktu widzenia sformułowano wiele słusznych zarzutów pod adresem naszej współczesnej twórczości. W istocie, w pewnych wypadkach i sztuka, a szczególnie krytyka, dały się uwieść pokusom. Za przejaw indywidualizmu chciano poczytać każde bardziej dociekliwe pochylenie się nad jednostką i jej wewnętrznym światem przeżyć. Nie dostrzeżono, że nie sam fakt zajęcia się jednostką, ale wyłącznie jakość jej przeżyć może decydować o słuszności zarzutu.

Świat tragedii greckiej to przecież w istocie tylko bohater w obliczu swego losu — reszta to jedynie dopełnienie i tło. Ale w losie indywidualnym odbija się całe życie. Ów indywidualny świat bohatera jest światem złożonym, bogatym i pełnym napięć. Czyż można go w ogóle porównać z również indywidyalnym, ale jakże bezgranicznie ubogim, światem przeżyć, zapatrzonym w swoją „osobowość" egoistycznego mieszczucha? Wszystko zatem sprowadza się do wymiarów człowieka. Ten, który rośnie w związku z całą społecznością i wraz z nią się bogaci i rozwija, ten na pewno zdoła wypełnić ramy wielkiego dzieła sztuki.

W innej dziedzinie również pozory niejednokrotnie przesłoniły głębszą problematykę nowej sztuki. Zbyt powierzchownie — można powiedzieć zbyt formalnie — pojmować chciano walkę z formalizmem. Istotne niebezpieczeństwo tkwi przecież w wyjałowieniu sztuki z humanistycznych treści w pewnej filozofii kultury, której jaskrawy przykład omawialiśmy na początku. To jest zasadniczy front walki z formalizmem.

Zagadnienie komunikatywności wypowiedzi artystycznej pozostaje w związku z tą walką, musi jednak być postawione na nieco innej płaszczyźnie. Najsłuszniejszy postulat komunikatywności wyznaczony jest przede wszystkim głębokością rewolucji kulturalnej i potrzebami rosnących rzesz odbiorców, które muszą stać na pierwszym miejscu. To wszakże w niczym nie ogranicza zadania ciągłego doskonalenia formalnych środków wyrazu ani też nie zwalnia z obowiązku szukania nowych dróg. Przeciwnie, dla każdego kto zdaje sobie sprawę z dynamiki naszego życia, ten ostatni obowiązek jest jednym z doniosłejszych.

Wspomniałem tu o tych ważnych, oczekujących na pogłębienie, problemach jedynie przykładowo, aby uwypuklić rolę jaką ma do odegrania w naszym życiu kulturalnym twórcza wymiana myśli.

Ta rola będzie niewątpliwie wzrastać i rozszerzać się.

Oczekujemy więc wszyscy po dyskusjach na tematy kulturalne nie tylko wyjaśnienia punktów spornych czy wątpliwych, ale — przede wszystkim — spotęgowania życia kulturalnego w ogóle i wniesienia w nie twórczego fermentu.

Andrzej Krasiński

EMANUEL MOUNIER

tłum. EWA KRASNOWOLSKA

CHRZEŚCIJAŃSTWO A CYWILIZACJA

TWORZYWO historii jest oporne. Podobnie jak w dziedzinie kultury, gdzie obyczaje moralne powoli się w nas zakorzeniają, chrześcijaństwo po wielu dopiero latach mogło zmienić świat, w którym utrwaliły się pewne instytucje ustrojowe i który przeciwstawiał mu ogromną siłę inercji. Zapewne, wyjaśnia to pewną część rzeczywistości. Ale od razu nasuwają się dwa zastrzeżenia, ograniczające zakres wyjaśnień tego rodzaju. Problem nie istniałby w ogóle, gdyby chodziło tylko o materialny opór przeciw oczywistej intencji. Ale faktem najbardziej uderzającym jest brak intencji — mam tu na myśli intencję stworzenia cywilizacji o piętnie chrześcijańskim, która by była w założeniu i próbach ukształtowania cywilizacją oryginalną — tworzenia jej zamiast szukania Królestwa obcego temu światu, choć w nim już biorącego początek i spożytkowującego do swej budowy elementy tego świata. Skądinąd siła inercji, która przeciwdziałała utworzeniu społeczności chrześcijańskiej, powinna była współdziałać w jej zachowaniu, z chwilą gdy została wypracowana dzięki wysiłkom średniowiecza. Kościół zaś, dzięki swemu wewnętrznemu rozwojowi uświadamiając sobie coraz wyraźniej istotę posłannictwa Chrystusa, powinien był, gdy owa praca historyczna dobiegła końca, nadać temu państwu chrześcijańskiemu — jeżeli było ono celem — uświęcenie dogmatu. Tymczasem, jak wiadomo, chociaż owa totalna społeczność chrześcijańska stanowiła, a nawet jeszcze teraz niejednokrotnie stanowi pokusę dla Kościoła, to jednak odmawiał on zawsze jej usankcjonowania, a kierunek, w jakim od owego czasu podąża łódź Piotrowa, stopniowo oddala ją od tych brzegów. Należy zatem gdzie indziej szukać wyjaśnienia dla tej dziwnej sprawy.

Pięćdziesiąt lat temu nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że sprawy cywilizacji nie mają nic wspólnego z posłannictwem chrystianizmu. Lękano by się pozostać poza prądem unoszącym ogół. Dziś przeciwnie, powstał potężny prąd twierdzący, że wiara jest zasadniczo obca i obojętna wobec spraw tego świata. Zrodził się on naprzód w środowisku protestanckim jako reakcja wobec religii zamkniętej w granicach dociekań rozumowych i szczęścia, którą tam zaprowadził liberalizm religijny. Dla Kierkegaarda paradoksem wiary jest jej całkowite odosobnienie, tak całkowite, że staje się jakby naśladowaniem najwyższego egoizmu. Wiara w żaden sposób nie może wejść w ramy tego co ogólne, jak pojęcia, instytucje, obyczaje. Niemożliwe jest, aby sługa wiary został przez kogokolwiek zrozumiany, i niemożliwe jest, aby dopomógł innemu słudze wiary. Jeżeli zaś nie może udzielić wiary osobie pozostającej na płaszczyźnie wiary, to tym bardziej nie może jej udzielić czemuś co istnieje tylko na płaszczyźnie organizacji. Społeczność chrześcijańska jest „przerażającym złudzeniem". Nie urzeczywistnia ona bynajmniej chrystianizmu i cały problem dnia dzisiejszego polega na tym, by „wprowadzić ponownie chrystianizm w społeczność chrześcijańską". Nie przestrzeń czasu oddziela dziś chrześcijanina od Chrystusa, może Mu się on bowiem stać współczesny uczestnicząc w Jego życiu jako najwyższym wzorze, lecz oddziela go sama społeczność chrześcijańska, która „pozbawiła władzy Chrystusa". Chrystianizm to wybór dokonywany w głębi serca, alternatywa, która staje przed każdym człowiekiem, a nie ustalony porządek, utrwalający się w miarę upływu czasu i wzrostu liczby chrześcijan. „Liczba jest nieładem", a trwanie w czasie, zdaniem Kierkegaarda, powoduje tylko „pewien rodzaj bezustannego rozrzedzania się" chrystianizmu. Przy takich perspektywach chrystianizm nie ma się czego spodziewać po historii. Idea ekspansji jest mu całkowicie obca. Rzekomy postęp jest tym, o którym mówi doktor w jednej ze sztuk Holberga: gorączka zupełnie znikła, ale chory umarł.

To całkowite potępienie historii, z którym można się spotkać w pewnych wypowiedziach Bartha, a poza które on sam już wyszedł, ma charakter czysto protestancki. Myśli katolickiej trudno by było podtrzymać je w całej rozciągłości. Można jednak znaleźć punkty styczne z tym poglądem u ludzi o pewnej umysłowości; wytłumaczenia, w jaki sposób do nich dochodzą, trzeba by szukać nie w drodze badania idei, lecz przeprowadzając analizę psychologiczną i socjologiczną. Mit automatycznego postępu jest tu po prostu i zwyczajnie odwrócony w kontrmit systematycznego cofania się cywilizacyj, a w szczególności naszej cywilizacji. Maurras ustalił jeden z najczęstszych schematów tej współczesnej odmiany jansenizmu: renesans, reformacja i rewolucja francuska są trzema stopniami schyłku historii. Twierdzenie to powtarzało za nim wielu drugorzędnych naśladowców. Inni — chrzcząc Rousseau'a i Ruskina wskazują na wiek techniki jako na okres schyłkowy. Podobne twierdzenia można by poprzeć analizami, które choć bez wątpienia sporne, mogłyby się jednak okazać interesujące. Nas zajmuje tu sposób, w jaki usiłują one stworzyć pewien rodzaj zamkniętej teologii i mitu religijnego (nie wolnych od infiltracji polityczno - społecznych) — prawdziwą antyhistorię, której genezą jest jakby jakaś uraza wobec historii, stanowiąca odpowiednik jej naiwnej idealizacji w obozie przeciwnym.

Ten sposób „pozostawienia wolnej ręki" zjawiskom jest grecki, ale nie chrześcijański. Silne dla niego oparcie stanowi fakt, że przeciwstawienie d u c h o w e — d o c z e s n e jest w umysłach bardzo niejasno sprecyzowane, a jednocześnie bardzo ostre i stanowcze, nazbyt ostre. Dla chrześcijanina pierwiastek duchowy jest to, ściśle biorąc, współudział w naszym życiu życia wiecznego, w przeciwieństwie do naszych czynności przyrodzonych. Ale to życie wieczne „jest samo cielesne" i na ogół jego działanie w nas dokonywa się poprzez owe czynności przyrodzone. Ten punkt widzenia, centralny dla religii, której osią jest Wcielenie, powinniśmy zachowywać we wszystkich okolicznościach, a tymczasem pozwoliliśmy, aby nasze pojęcie duchowego uległo stopniowo skażeniu pod wpływem eklektycznego i pozbawionego korzeni pojęcia idealizmu, w którym „duchowe" oraz „moralne" oznacza ducha bez ciała, tchnienie życia bez życia, dobrą wolę bez woli, kulturę bez gleby. Sądząc, że chrześcijanin powinien żyć wśród duchowego, umieszcza się go pod kloszem pneumatycznym, a gdy na szczęście znajduje tam powietrze nieco rozrzedzone, mówi mu się, że powinien „włączyć się" („zaangażować się") w doczesne, tak jakby „duchowe" było oddzielone od „doczesnego", a doczesne pozbawione duchowości. Naszym zadaniem nie jest wprowadzanie duchowego w doczesne — ono już w nim istnieje — lecz odnalezienie go tam, umożliwienie, by tam żyło, oraz związanie się z nim. Całokształt tego, co doczesne, to sakrament Królestwa Bożego. [1]).

Nie wyszliśmy jeszcze na dobre z hellenizmu, który nas prowadzi do tego, że pod wpływem na pół pogańskiego pojęcia duchowego gardzimy tym, co doczesne, ciałem i materią, jako jakimś infra-światem, gdy tymczasem są one w sercu misterium Odkupienia, są świątyniami Ducha Świętego. Mistrz Eckart odważył się posunąć tak daleko, że twierdził, iż ciało zostało dane duszy po to, aby ją oczyścić. Nie może nie zwrócić naszej uwagi fakt, że to, co nazywamy cywilizacją materialną, zrodziło się na ziemi chrześcijańskiej i posuwa się w ślad za ekspansją chrześcijaństwa w świecie. Łatwo jest zakłócić spokój trawienia i obudzić nieprzyjemne wspomnienia lekcyj matematyki przez potępienie „władztwa ilości". Znacznie trudniej potraktować to potępienie poważnie, gdy się rozważa tajemnicze więzy łączące matematykę z największymi tajemnicami wszechświata. Łatwo jest ganić nasze pierwsze głupstwa, popełniane przy pierwszych maszynach, trudniej zapomnieć, że według Genezy człowiek został stworzony *„ut operaretur terram"*, by korzystał dzięki swej pracy z owoców ziemi, i trudno odsunąć myśl, że częściowe wyzwolenie z przygniatającego ciężaru pracy dzięki wynikom osiągniętym tą pracą, mogłoby być dla grzesznej ludzkości pierwszym darowaniem części ponoszonej kary, uzyskanym dzięki skutkom owej kary. Niezależnie zaś od tego, czy posuniemy się bliżej czy dalej w tych rozważaniach, niewątpliwa pozostaje przynajmniej ta zasada: religia uniwersalnego naśladowania wcielonego Chrystusa — chrystianizm — nakazuje człowiekowi czynny współudział w tym wszystkim co doczesne. Kościół natychmiast odrzucił herezję gnostycką, która chciała ponownie nauczać platońskiej ucieczki od rzeczywistości i w świetle całości ograniczył do właściwych wymiarów naukę pseudo - Dionizego, grożącą wciągnięciem całego życia chrześcijańskiego w mistyczne oderwanie od świata. Być może, jak to mówił Jean Guitton, Słowo Boże wybrało jako pierwsze pole swego działania naszą cywilizację, najmniej religijną, najbardziej rzeczową, najbardziej rozumującą i najskłonniejszą do czynu, aby na początku być silniej związane z ziemią.

Doszliśmy teraz do punktu, w którym widzimy z jednej strony absolutną konieczność wcielania prawdy w życie, z drugiej — oczywistą obojętność pierwszego okresu chrześcijaństwa dla dzieła tworzenia cywilizacji. Jak to ze sobą pogodzić?

Bez wątpienia znacznie lepiej jest nie wyprowadzać abstrakcyjnych wniosków i zbadać, jaki był w rzeczywistości przebieg wydarzeń. Gdy przyjrzymy się bliżej w jaki sposób chrześcijaństwo wrastało w cywilizację, wśród której się szerzyło, przekonamy się, że wpływ jego był bardzo szczególnej natury. Gdy usiłujemy pochwycić jego ogólny charakter, przychodzą nam na myśl określenia: uboczny, pośredni, skryty. Przypomnijmy raz jeszcze, że nie mówimy tu o jurysdykcji Kościoła w odniesieniu do rzeczy doczesnych, lecz o spontanicznym wpływie życia wiary, indywidualnego czy kolektywnego, na rozwój dokolnej cywilizacji. Nie podobna już dziś zaprzeczyć, że wpływ ów, niezależnie od tego, z jakimi opóźnieniami i jak ubocznymi drogami przebiegał, był silny i tak głęboki oraz trwały, że jeszcze obecnie kształtuje tych nawet, którzy się odeń odsuwają. Przyjrzyjmy się wszakże jego drogom. Nie są one nigdy bezpośrednie.

Przede wszystkim i w pierwszej linii wiara nie miesza się do instytucji ludzkich jako takich, chyba że występują one wyraźnie przeciw boskiej sprawiedliwości. Ani w słowach Chrystusa, ani w nauce Apostołów i Ojców nie ma nic, co by przypominało gromy rzucane później na ludzkie instytucje przez Lutra czy Jansenjusza. Chrystus zburzy porządek żydowski, naród żydowski i wyłączne panowanie Prawa, co w żydowskiej teokracji stanowiło jedno. Lecz mając tylko pochwały dla głębokiej trwałości tego Prawa unika On godności królewskiej, która by Mu pozwoliła dokonać ludzkimi środkami natychmiastowego przewrotu. „Oddajcie cesarzowi..." — ta zasada kieruje całym nauczaniem Apostołów. Dopiero później usłyszymy kilka pojedynczych głosów barbarzyńskich apologetów rzucających gromy na kulturę i cywilizację antyczną, i głosy te pozostaną bez echa. Święty Augustyn opisując dwa państwa dokłada wszelkich starań, by nie uczynić państwa Bożego państwem ułudnym i wyodrębnionym i podkreśla fakt jego włączenia w państwo ziemskie: „Z wszelką pewnością — pisze on — to państwo Boże, jeśli tylko nie znajduje w tym nic przeciwnego Bożym wskazaniom, jest najzupełniej obojętne na zwyczaje i różne sposoby życia poszczególnych ludzi, wiążące ich z wiarą, która prowadzi do Boga. Toteż wiara ta nie zmusza bynajmniej nawet filozofów, którzy przyjmują chrześcijaństwo, by zmieniali swój sposób życia czy obyczaje, jeśli tylko nie ma w tym nic, co by stanowiło przeszkodę dla religii; wiara zmusza ich tylko do tego, by zmienili co jest błędnego w ich nauczaniu", (*Civitas Dei*, księga XIX, rozdz. XIX, 2). Podejmijmy słowo Augustyna: można w istocie mówić o pewnego rodzaju o b o j ę t n o ś c i chrześcijańskiej w odniesieniu do spraw cywilizacji. Zwróćmy jednak uwagę na znaczenie tego słowa: nie chodzi tu o obojętność w sensie wstrzymywania się od działania *(d'abstention)*, lecz o obojętność stosunku *(de relation)*, ściśle biorąc obojętność nadrzędności *(de surplomb)*.

W istocie tę świętą obojętność bardzo trudno utrzymać w jej ściśle duchowym znaczeniu. Dla chrześcijanina „wewnętrznego" jest ona bezustanną pokusą, zachętą do wycofania się ze spraw tego świata przy jednoczesnym korzystaniu z owoców walki tych, którzy w nim wojują — a nie jest to postawa zbyt godna. Spojrzeniu profana wydaje się ona podobna do postawy tych robotników, którzy odmawiają podjęcia ryzyka udziału w strajku, ponieważ „nie zajmują się polityką", lecz z roku na rok korzystają z lepszych warunków uzyskanych przez tych, co biorą w strajkach udział, otrzymują ciosy i płacą miesiącami więzienia. Czy taką właśnie postawę nakazuje chrześcijanowi transcendencja jego wiary? W żadnym wypadku. Zwróćmy uwagę na to, że Ojcowie Kościoła nie mówili: „Uciekajcie od spraw tego świata, nie mają one znaczenia", lecz przeciwnie: „Ponieważ nie mają one znaczenia, nie wycofujcie się z nich, przyjmijcie je takimi, jakie są". A ponieważ dodawali: „Oprócz tego, że czynić będziecie to, co czynią inni, przenikajcie to, co czynicie, duchem chrześcijańskim" — przeto kierowali chrześcijan, na pozór tego nie robiąc, na nie kończącą się drogę doświadczeń dodatkowych trudów. Chrześcijanin był w ten sposób ściśle związany ze światem i to tym mocniej, że musiał w nim z trudem wyszukiwać ukryte drogi zgodne z kierującym chrześcijaństwem — duchem.

Spójrzcie jeszcze, w jaki sposób zachowywali się Apostołowie w stosunku do przepisów rytualnych Zakonu żydowskiego. Pierwsza społeczność chrześcijańska, depozytariuszka uniwersalnej, burzącej wszystko doktryny, składa się wyłącznie z Żydów podległych przepisom mozaistycznym. Wydaje się, że nawet ci, którzy pierwsi nauczali poza Jerozolimą, zwracali się wyłącznie do Żydów. Problem powstaje z chwilą przybycia Żydów helleńskich, którzy od dawna zaniechali niektórych praktyk mozaistycznych. Wydaje się dochodzić do stadium krytycznego w chwili ukamienowania Szczepana, który w swojej nauce podkreślał punkt widzenia hellenistów. Ale po zakończeniu dramatu gorączka opada. Jakub w swej nauce zaleca drogę pojednawczą, ogranicza zobowiązania pogan wobec Prawa żydowskiego, choć ich jeszcze nie znosi. Paweł doprowadza znów do wybuchu skandalu podejmując z całą energią uniwersalistyczne posłannictwo. Spotyka się to z silną naganą; wielu przedstawicieli Kościoła żąda poddania chrześcijan, niezależnie od ich pochodzenia, obrzezaniu i żydowskim przepisom rytualnym. Jakub znów zajmuje stanowisko pojednawcze, uzyskuje od Pawła pewne ustępstwa. Wybuchają rozruchy, które doprowadzają do uwięzienia Pawła. Dopiero około roku 60 judaizujący ponoszą ostateczną klęskę.

Podobnie dzieje się z Imperium. Ludzie, którzy zachowują posłuszeństwo wobec wszystkich praw, zachowują wszystkie obyczaje, lecz w jednym określonym punkcie stawiają opór i to opór bardzo stanowczy. Jeden jedyny punkt, na pozór drobny: kult Boga imperatora. Lecz ten właśnie punkt jest punktem żywotnym. Jak sto lekkich uderzeń wymierzanych w wybrane miejsce niszczy potężne dzie-

[1]) Por. np. uwagi P. Ganne'a w „Masses Ouvrières", marzec 1949.

IZABELA KOPEĆ

NARÓD NA NOWO NIEPODLEGŁY

10 sierpnia rb. — dzień rozwiązania unii holendersko - indonezyjskiej — to nie tylko święto młodej republiki Indonezji, lecz także nowy poważny wyłom w kolonialnym systemie w Azji południowo-wschodniej. Jakkolwiek bowiem prezydent Sukarno, który od zakończenia wojny do dziś sprawuje swój urząd, ogłosił niepodległość Indonezji już w 1945 r., kolonizatorom holenderskim nie spieszno było do zrezygnowania z tak łakomego kąska. Po zbrojnej napaści wojsk holenderskich na Republikę Indonezyjską w 1948 r. na tzw. „Konferencji okrągłego stołu", która odbyła się w Hadze w końcu 1949 r., została zawarta, pod silną zresztą presją amerykańską, unia holendersko - indonezyjska.

Statut unii zachowywał liczne kolonialne przywileje Holandii i ograniczał poważnie suwerenność kraju. Zgodnie z jego postanowieniami Holandia miała prawo kontrolowania polityki zagranicznej rządu indonezyjskiego, utrzymywania na terytorium Indonezji swych sił zbrojnych i baz wojskowych, a poza tym uzyskała możliwości ingerowania w politykę wewnętrzną tego kraju. Indonezja wzięła na siebie długi holenderskiej administracji kolonialnej, zamykające się olbrzymią sumą 4,3 miliarda guldenów. Tak więc w istocie rzeczy przedsiębiorcy holenderscy nadal mogli kontrolować całą gospodarkę Indonezji.

Upór Holendrów dążących za wszelką cenę do utrzymania swych posiadłości w Azji południowo-wschodniej tłumaczy fakt, że owe 3 000 wysp i wysepek, znane dawniej pod nazwą Indii Holenderskich, stanowią jeden olbrzymi rezerwuar najbardziej poszukiwanych surowców. Wystarczy powiedzieć, że jedna trzecia surowców pojawiających się na rynkach świata pochodzi właśnie z Indonezji.

Niezmierzone bogactwa naturalne tego kraju: kauczuk, ropa naftowa, cyna stanowią również przedmiot pożądań Amerykanów. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych brali czynny udział w „Konferencji okrągłego stołu". Pod ich naciskiem, wzamian za obietnicę poparcia sprawy Indonezji w ONZ, rząd indonezyjski zmuszony był wyrazić zgodę na sprzeczne z interesami narodu warunki unii holendersko-indonezyjskiej.

W polityce USA w stosunku do Indonezji nie tylko sprawy gospodarcze odgrywają wielką rolę, niepoślednie znaczenie mają tutaj także plany natury strategicznej. Nie należy bowiem zapominać, że Indonezja jest trzecim co do powierzchni krajem Azji i zamieszkuje ją około 80 mil. ludności. Łańcuch wysp indonezyjskich jest ogniwem wiążącym kontynent azjatycki z Australią a zarazem miejscem przecięcia się ważnych linii morskich i lotniczych łączących daleki Wschód z Europą. Względy te sprawiły, że dyplomacja amerykańska za wszelką cenę starała się nie dopuścić do zniesienia unii holendersko-indonezyjskiej a przede wszystkim sprzeciwiała się rozstrzygnięciu na korzyść Indonezji sprawy zachodniego Irianu (Zachodniej Nowej Gwinei). Na mocy bowiem konferencji w Hadze w 1949 r. zachodni Irian pozostał pod kontrolą holenderską. Stało się to dlatego, ponieważ Nowa Gwinea stanowi cenne ogniwo w amerykańskim „pasie bezpieczeństwa'.

Powstanie unii holendersko - indonezyjskiej oraz penetracja amerykańska w Indonezji zostały w ogromnym stopniu ułatwione przez politykę prawicowych stronnictw tego kraju, stronnictw, które sprawowały rządy w początkowym okresie niepodległości. Pierwszy rząd pod kierownictwem b. kolaboracjonisty japońskiego — Hatty składał się z przedstawicieli miejscowej burżuazji oraz z członków stronnictwa prawicowo - socjalistycznego. Cieszył się on również popraciem feudalnej muzułmańskiej partii Maszumi, która potem sprawowała władzę i skupiała najbardziej wsteczne elementy, splamione często współpracą z japońskim okupantem.

Na stanowisku zdecydowanie postępowym stanęły w Indonezji trzy, wywodzące się z Ruchu Oporu, partie: komunistyczna, lewicowo-socjalistyczna oraz robotnicza domagające się, oprócz niepodległości kraju, również reformy rolnej oraz innych reform gospodarczo - społecznych. Niestety jednak w wybranym w 1945 r. parlamencie te postępowe ugrupowania znalazły się w mniejszości, posiadały bowiem tylko 192 posłów na ogólną liczbę 414. Na czele uformowanego wtedy rządu koalicyjnego stanął Szarir, przywódca stronnictwa prawicowo-socjalistycznego.

Z wyjątkiem krótkiego okresu sprawowania władzy przez rząd jedności narodowej pod przewodnictwem lewicowego socjalisty Szarifudina, rząd powołany w groźnym momencie napaści holenderskiej na Indonezję, partie prawicowe aż do roku 1953 są odpowiedzialne za politykę i stosunki panujące w tym kraju. Okres ten charakteryzuje zajęcie zdecydowanie proamerykańskiej postawy w polityce zagranicznej, wzrost ekspansji obcego kapitału na teren republiki oraz coraz przybierająca na sile walka z ludźmi postępu domagającymi się reform społeczych oraz zerwania z antynarodową polityką. Tragicznym wyrazem tej walki stały się wypadki z września 1948 r. Widząc opłakane skutki gospodarczej i zagranicznej polityki burżuazyjnych przywódców postępowe partie oraz organizacje utworzyły w Madiun rząd ludowo - rewolucyjny, który wezwał naród do powstania przeciwko reżimowi Hatty. Mimo jednak początkowych sukcesów rewolucja wrześniowa musiała ulec przeważającym siłom rządu i zakończyła się klęską. Zamordowano wówczas czołowych przywódców komunistycznych, a tysiące patriotów indonezyjskich dostało się do więzień. Wtedy to rozpoczął się najtragiczniejszy okres w dziejach młodej republiki, wtedy właśnie została podpisana w Hadze umowa o unii, która praktycznie biorąc czyniła z Indonezji na nowo kolonię.

W wyniku panoszenia się zagranicznych monopoli ekonomika Indonezji przeżywa w tym okresie poważne trudności. Na budżet kraju spadł olbrzymi ciężar spłacania dawnych długów administracji holenderskiej wynoszących olbrzymią sumę 4,3 miliarda guldenów. Konkurencja firm amerykańskich, japońskich i holenderskich stała się poważną groźbą dla młodego przemysłu indonezyjskiego. Na skutek tego następuje wzrost bezrobocia i dalsze obniżenie się stopy życiowej miejscowej ludności. Wielki strajk robotników przemysłowych i rolnych jaki wybuchł w 1950 r. objął ponad milion ludzi i stał się wyrazem protestu najszerszych mas przeciw panującym stosunkom. Naród indonezyjski widząc prześladowanie komunistów i zaniechanie nacjonalizacji coraz jaśniej zaczął zdawać sobie sprawę, że rewolucja nie została przeprowadzona do końca i że zamiast wyzysku kolonialno - feudalnego czeka go wyzysk obcego kapitału i własnej burżuazji.

W tym czasie kolejno następujące po sobie prawicowe rządy Hatty i Sukimana całkowicie wciągnęły Indonezję w orbitę wojennej polityki amerykańskiej. Najbardziej jaskrawym tego przejawem stało się podpisanie, w tajemnicy przed narodem, porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi o „wzajemnym zapewnieniu bezpieczeństwa". Porozumienie to podpisane w lutym 1952 r. miało faktycznie podporządkować indonezyjskie siły zbrojne oraz terytorium całego kraju kontroli amerykańskich władz wojskowych. Ten plan zakończył się jednak klęską, gdy sprawa bowiem wyszła na jaw, wywołała takie oburzenie i protesty całego społeczeństwa, że rząd Sukimana upadł.

Fakt ten stał się zwrotnym punktem w historii republiki Indonezyjskiej. Do głosu dochodzą ludzie z postępowych ugrupowań lewicowych. Utworzony w roku 1953, po kilkumiesięcznym kryzysie gabinetowym, rząd premiera Sastroamidżojo stanął zdecydowanie na gruncie polityki narodowej.

Premier Sastroamidżojo oświadczył niedawno w parlamencie, że Indonezja popiera wspólną deklarację Czou En-laia i Nehru, w której przedstawiono zasady pokojowej polityki, a zbliżony do kół oficjalnych dziennik „Merdeka" stwierdza, że Indonezja „nie weźmie udziału w żadnym bloku wojskowym, gdyż jest to sprzeczne z jej polityką zagraniczną zmierzającą do utrzymania pokoju, przyjaźni i współpracy między narodami". Że tak jest istotnie potwierdza choćby fakt, iż Indonezja odrzuciła propozycje mocarstw zachodnich wzięcia udziału w konferencji w Manili, której celem, jak wiadomo, było stworzenie agresywnego bloku Azji południowo-wschodniej.

Rząd indonezyjski poprzez zawieranie układów handlowych z takimi krajami, jak Chiny Ludowe, NRD, Czechosłowacja czy Węgry stara się uwolnić ekonomikę swojego kraju spod panowania monopoli amerykańskich. Budzi to zrozumiałe zaniepokojenie w Waszyngtonie, a jak donosi jeden z holenderskich dzienników, ambasador USA zagroził ostatnio przerwaniem amerykańskiej pomocy gospodarczej dla Indonezji. Charakterystyczne jest tutaj także stanowisko angielskiego tygodnika „Economist", który w artykule pod wiele mówiącym tytułem „Niebezpieczeństwo z Dżakarty" przestrzega kapitalistów zachodnich przed inwestowaniem kapitałów w Indonezji, ponieważ, według oceny tego pisma, stała się ona obecnie terenem „niepewnym".

Rząd jednak premiera Sastroamidżojo na pewno zastraszyć się nie da, tym bardziej, że ma on już na swoim koncie tak poważny sukces jak zniesienie unii holendersko-indonezyjskiej. Holandia musiała zdecydować się na ten krok, ponieważ cały naród indonezyjski powstał do walki o anulowanie uchwał konferencji „Okrągłego stołu", a masowe wiece jakie odbywały się w całym kraju stały się naprawdę groźne dla kolonizatorów. Podpisany 10 sierpnia br. protokół w Hadze unieważnia statut unii oraz związane z nim układy o współpracy w dziedzinie polityki zagranicznej, obronnej i gospodarczej. Dotychczasowe porozumienia regulujące stosunki handlowe między obu państwami zastąpione zostaną zwykłym układem handlowym. Na specjalnych zasadach uregulowano sprawę koncesji, licencji i prawa prowadzenia przez Holandię przedsiębiorstw w Indonezji. Sporne sprawy mają być regulowane na drodze dyplomatycznej lub — za zgodą obu stron — przez sąd rozjemczy. W razie niemożności osiągnięcia porozumienia, rozstrzygać ma Międzynarodowy Trybunał w Hadze. Nie osiągnięto natomiast zgody w kwestii zwrotu zachodniego Irianu, ponieważ rząd holenderski, pod naciskiem amerykańskim, stanowczo odmówił rozpatrzenia tej sprawy. I w tym wypadku jednak obecny rząd Indonezji zajął zdecydowanie patriotyczne stanowisko, a prezydent Sukarno oświadczył, że: „dopóki nad zachodnim Irianem powiewa flaga holenderska nie możemy uważać się za wolnych od zagrożenia". W związku z tym stały delegat w Indonezji do ONZ Czondronegoro wręczył 18 sierpnia sekretarzowi generalnemu Hammarskjoeldowi pismo zawierające prośbę włączenia sprawy Irianu do porządku dziennego IX sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Delegat Indonezji powiedział, że spodziewa się, iż 16 krajów grupy afrykańsko-azjatyckiej poprze stanowisko jego kraju.

Te wszystkie posunięcia obecnego rządu indonezyjskiego są oczywiście solą w oku Amerykanów. Nic więc dziwnego, że obecnie, kiedy w Indonezji odbywają się przygotowania do wyborów parlamentarnych Departament Stanu stara się sklecić blok reakcyjnych elementów. Jak donosi hinduski dziennik „Delhi Times" amerykańscy przedstawiciele w Indonezji utrzymują ścisły kontakt z przywódcami partii Maszumi i prawicowych socjalistów. Finansowane przez Amerykanów zbrojne bandy terrorystyczne ograbiają i mordują spokojnych mieszkańców. Chcą oni sterroryzować ludność i zdławić ruch demokratyczny.

Nie pomogą tutaj jednak żadne starania ani przewrotne plany, jak dowiodła bowiem historia, nic nie powstrzyma narodu konsekwentnie dążącego do swej niepodległości, a przedstawicielem jego może być jedynie rząd rzeczywiście reprezentujący wolę większości. Niezależnie więc nawet od takiego, czy innego, chwilowego układu sytuacji mieszkańcy Indonezji z ufnością mogą patrzeć w przyszłość, bo walka trwa, a siły ich sojuszników rosną.

Izabela Kopeć

(Dokończenie na str. 5)

JERZY WOLKER

Poranna pieśń

Nieśmiało ranek powiał prosto w twarze
snem wolnych lasów, gór, bezkresnych pól.
Wszystko ucichło nagle w duszy naszej
krwawe cierpienie, sprzeciw, ostry ból.

Biegniemy cisi radośnie i bosi
wilgotną trawą i mchem, który lśni.
Zasiewy srebrzą łzy porannej rosy.
Tak, płakaliśmy — teraz chcemy żyć!

Patrzcie, tam w krwawych mgłach dzień słońce wieści.
Cóż, wy myślicie, że nie wzejdzie tu?
Ach, wierzcie tylko, całą duszą wierzcie —
bo wiarą można słońce wprawić w ruch!

Żebracy

Stawali żebracy przy traktach,
prosili panów o grosze.
Los ciężki, iść życiem nie łatwo,
gdy rany przyschły do koszul.

We wrześniu, w porze przepięknej,
jest po co ku panu dłoń podnieść,
lecz nikt nawet kiesą nie brzęknie
w dni bezsłoneczne i chłodne.

Żebracy, radzę, gdy słońca powóz
żar wznieci szczodrości Bożej
chętniej wyciągnie pan mieszek do was,
gdy w twarz mu błyśniecie nożem!

Pokora

Stanę się mniejszy i jeszcze mniejszy
aż będę najmniejszy na całym świecie.
Rankiem, na łące, w lecie
po najmniejszym wespnę się kwiatku
i szepnę mu w kielich ukradkiem:
„Chłopczyku bosy
niebo dłoń wsparło o cię
kropelką rosy,
by nie spaść".

Rzeczy

Kocham rzeczy, milczących przyjaciół,
dlatego, że wszyscy obchodzą się z nimi,
jakby nie żyły,
a one żyją jednak i patrzą na nas
jak psy wierne oczyma skupionymi
i cierpią,
że nie przemówi do nich człowiek żaden.
Wstydzą się rozmowę zacząć,
milczą, czekają, milczą,
a przecież
o tylu sprawach pomówić by chciały.
Dlatego kocham rzeczy,
a także kocham świat cały.

*

Żołnierzyku pierwszego szeregu
masz karabin i serce
i dlatego umrzesz.

Żołnierzyku pierwszego szeregu
masz wiarę i dzieci
i dlatego żyć będziesz na wieki.

*

Świat pada na łóżko szpitalne
i wśród bandaży słyszę alarm jego,
towarzysze o sprawiedliwość idą walczyć,
w bój idą, i nie brak nikogo w szeregu.

Świat pada na łóżko szpitalne,
bo i jemu śmierć grozi wśród ciemnych pokoi.
Towarzysze, dlaczego nie mogę iść z wami?
Dlaczego muszę umrzeć zamiast polec w boju?

Epitafium

Tu leży Jerzy Wolker, poeta, który kochał świat
i chciał o sprawiedliwość na nim bić się,
lecz nim poświęcił walce serce swe i życie,
mając dwadzieścia cztery lata — zmarł.

przełożył Andrzej Piotrowski

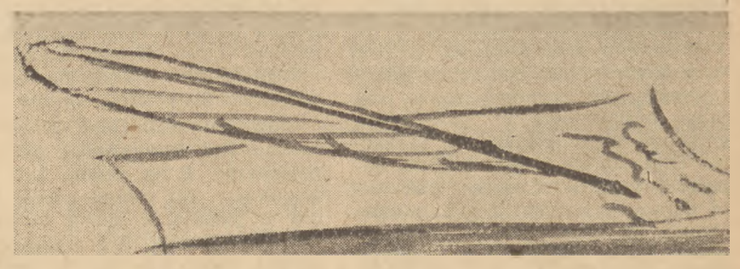

Jerzy Wolker

W trzydziestą rocznicę śmierci J. Wolkera

ANDRZEJ PIOTROWSKI

BAŚŃ I RZECZYWISTOŚĆ

TWÓRCZOŚĆ Jerzego Wolkera wymaga komentarza historycznego. Rok 1924 był ostatecznym zamknięciem jego drogi twórczej, zamknięciem nieodwołalnym, zawinionym przez przedwczesną śmierć. Dystans trzydziestu lat, dzielący nas od tej bolesnej dla odradzającej się niepodległej literatury czeskiej straty, stawia nas wobec konieczności szkicowego chociaż nakreślenia obrazu chwili dziejowej oraz momentu przełomu, który zaznaczył się z całą wyrazistością w rozwoju literatury czeskiej. Rzutowanie dorobku artystycznego Wolkera na uwarunkowane przemianami społeczno - polityczno - gospodarczymi tło ułatwi prawidłowe zrozumienie, a przez to i słuszną ocenę poezji autora „Ballady o marynarzu".

Wojna lat 1914 — 1918 obnażyła z całą bezwzględnością słabość c.k. monarchii. Znalazła raz jeszcze potwierdzenie stara teza o kolosie na glinianych nogach. Narody słowiańskie zostające pod „łaskawym" panowaniem zdziecinniałego na starość Franciszka Józefa I niedwuznacznie wyraziły swój protest przeciwko dalszemu „wchodzeniu w skład" Austro-Węgier. Znalazł on ostry wyraz w masowym przechodzeniu („z biciem w bębny i dęciem w trąby") żołnierzy rekrutujących się z Czechów i Słowaków na stronę rosyjską, a także w pracy polityków czeskich i słowackich za granicą.

„W tym samym czasie — pisze znakomity historyk, Kamil Krofta — Czesi przebywający w kraju przechodzą od dotychczasowej bierności do bardziej zdecydowanej polityki. Pamiętnym majowym manifestem pisarzy czeskich z roku 1917 zaczyna się szereg programowych wystąpień". W rok później niepodległe państwo czechosłowackie było faktem dokonanym. Ustalono na przeciąg dwudziestu lat kształt wewnątrz - europejskich linii granicznych. Ukonstytuował się pierwszy rząd. Uchwalono konstytucję, która była arcydziełem prawniczym i politycznym, a jednocześnie najbardziej postępowym aktem tego typu w burżuazyjnej Europie. Powojenna rzeczywistość sprawiła jednak wszystkim gorzki zawód. Pierwsze lata poprzewrotowe obfitowały w ostre narodowościowe i klasowe starcia.

Rząd Tusara, nie rozwiązał palących problemów epoki, krótkotrwała jego kadencja ujawniła oportunizm socjaldemokracji i jej politykę zdrady. Rok później — po krwawym grudniu 1920 r. — nikt trzeźwo myślący nie miał już złudzeń co do charakteru władzy państwowej. Niepodległa Czechosłowacja weszła w nurt historii państw kapitalistycznych uczestnicząc wraz z nimi w koniunkturach i kryzysach ekonomicznych.

Wydarzenia historyczne i umiejętna propaganda rządowa wyznaczają dwie sfery oddziaływań na życie kulturalne i artystyczne kraju. Pisarze czescy, którzy — jak świadczy manifest majowy, czy późniejsza działalność literacka Dyka, Kopty, Medka, Langera — brali od początku czynny udział w życiu politycznym i z początku ulegali przede wszystkim sile oddziaływania wypadków historycznych — i tę ich działalność wypadnie bezsprzecznie ocenić pozytywnie — później stali się tubą propagandy, przyczyniając się do utrwalenia wielu legend zarówno co do znaczenia zagranicznego „odboje", jak i „bohaterskiej epopei" legionów. Bolesną wymowę ma fakt, że szereg pisarzy, którzy zdeklarowali się wyraźnie po stronie proletariatu i rewolucji, uległo zgubnemu wpływowi na prędce fabrykowanych mitów, godząc się na istniejący *status quo*.

Wymieńmy nazwiska: Seifert, Hora. Dodajmy, że burżuazji dopomogła sytuacja ekonomiczna — kolejna koniunktura i odpływ fali rewolucyjnej. Nieliczna tylko grupa pisarzy, poetów i naukowców pozostała nadal w kręgu oddziaływania wypadków historycznych i potrafiła je prawidłowo interpretować. Byli to przede wszystkim Nejedly, Neumann, Olbracht, Majerova. Ku nim dążył Jerzy Wolker.

Ladislav Sztoll słusznie nazywa lata bezpośrednio po wojnie światowej następujące okresem wielkiego oczyszczenia. W przychylnym klimacie, w atmosferze przypływu myśli rewolucyjnej dokonywa się przemiana Wolkera.

W KRĘGU LAMPY RODZINNEJ

„U nas jest ziemia
równa jak stół
pokryty świątecznym, zielonym
obrusem".

Zza tych kilku wierszy wygląda wyraźnie rodzinny zakątek poety — Hana. Tu, w Prostiejowe, na progu nowego stulecia, w czwartek 29 marca 1900 roku, urodził się Jerzy Wolker jako pierworodny syn rodziny — mieszczańskiej. Ojciec jego — wyższy urzędnik finansowy — potrafił zapewnić rodzinie warunki jeżeli nie luksusowe — to na pewno bardzo dobre. Mimo drobnomieszczańskiego w zasadzie pochodzenia w domu panowała atmosfera interesująca. To niewątpliwie odbiło się na rozwoju wszechstronnych uzdolnień obdarzonego wielu talentami chłopca. Wczesna dojrzałość umysłowa pozwala kilkunastoletniemu Jerzemu pisać ciekawe wiersze, dyskutować o literaturze i muzyce. Jerzy Wolker nie tylko pisze, chętnie także rysuje i maluje, gra doskonale na fortepianie i skrzypcach, próbuje nawet swych sił jako kompozytor. O wszechstronności zainteresowań świadczy dobitnie fakt, że nie zamyka się wyłącznie w sferze intelektu. Przeciwnie, bierze ożywiony udział w życiu społecznym.

Produkcja literacka lat 1919 — 1920, a więc okresu poprzedzającego publikację „Gościa w dom", debiutu poetyckiego Wolkera, pozwala odtworzyć raczej nastroje niż myśli. Zresztą wiersze tego okresu są mało oryginalne — łatwo wykazać genetyczne związki pierwocin poety z rodzimą i zagraniczną twórczością. Tak też w pierwszym okresie przeważać będą, rzecz jasna, poeci ojczyści: Jan Neruda, Macha, Machar, Sova i Hlavaczek, później poeci obcy, ci wszyscy, których utwory dotarły do Czech na fali „Moderni Revue": parnasiści, symboliści, dekadenci.

Młodziutki poeta pozwala sobie na igraszki formalne — wykazując wcale niezłe postępy. Utwory tego typu nie są w jakiś sposób reprezentatywne dla najwcześniejszego okresu twórczości — tonem zasadniczym jest smutek, zniechęcenie, erotyka, nie wypływające jednak z rzeczywistego uwarunkowania takiej właśnie, a nie innej postawy. Dlatego też Wolker długo nie pozostał w kręgu pozy, fałszywego grymasu „schyłkowca". Szukanie drogi widoczne jest już w wierszach z roku 1918. W napisanym w tym roku „Dysonansie" znajdujemy jeszcze cały aparat rekwizytów poezji schyłkowej, jednocześnie jednak stwierdzamy obecność czegoś innego, nowego. Poeta chce wyjść z kręgu znaczonego dymem papierosów i ostrym zapachem alkoholu. „Ktoś jednak nie chce zdjąć mu z czoła ciężkiej dłoni".

Przełomem jest wiersz „Jitrzni piseň". Wiersz nosi datę 1918, datę tłumaczącą wiele. Wydarzenia historyczne dosięgają Wolkera, poetę — wbrew licznym i serdecznym stosunkom towarzyskim i koleżeńskim — samotnego. „Poranna pieśń" jest pierwszym, nieśmiałym może krokiem w stronę liryki książkowego debiutu, w stronę „Gościa w dom".

Wszystko to nie znaczy jednak, że przed Wolkerem jasno rysowała się nowa wizja poetycka, inny zespół środków artystycznych, słowem, poezja jakościowo inna niż dotychczas. Postawę niezdecydowania odczytamy z wielu wierszy. Świadczą one o wahaniu, trudności wyboru pogoni czy ucieczki.

Wolker zdecydował się. I nie wybrał ucieczki.

Otwiera się nowy okres — liryka wiosny i lata 1919 roku. Dziewiętnastoletni poeta był przygotowany na przyjęcie „dobrej nowiny". Odzyskanie niepodległości powitał płomiennym peanem „Radość".

Witalizm znajduje podatny grunt i silnie się zakorzenia. Objawieniem jest tom „Tielo". W sferze oddziaływania nowych kierunków — poezji Szramka, Neumanna, poetów francuskich — powstaje oryginalny świat poetycki Wolkera.

STUDIA PRAWNICZE I INNE

W roku akademickim 1918 — 1919 na liście studentów wydziału prawniczego znalazło się nazwisko Jerzego Wolkera, który po zdaniu matury — na wyraźne życzenie ojca — udał się do Pragi, by tu rozpocząć studia prawnicze. Tu też pilnie uczęszczał na wykłady nie tylko związane z kierunkiem studiów — chętniej brał udział w zebraniach sekcyj innych: głównie literackich i historyczno - literackich. Zebraniom tym zawdzięcza znajomość ze Zdenkiem Nejedlym, innym — już nie na terenie Uniwersytetu Karola, lecz w kawiarni literackiej — poznanie S. K. Neumanna, który od tej pory otoczy utalentowanego młodzieńca serdeczną opieką.

W tym samym czasie nawiązuje Wolker kontakty z młodzieżą literacką. Jest członkiem „Devietsilu". Publikuje utwory poetyckie, recenzje, artykuły teoretyczno - literackie. Wówczas też powstają jego pierwsze opowiadania i próba dramatyczna „Szpital". Przede wszystkim jednak tworzy utwory liryczne, których wybór zebrał w tomie „Host do domu", wydanym w roku 1921. Drukują je czasopisma o najróżniejszym profilu politycznym — „Kmen", „Pravo lidu", „Cesta", „Rude pravo", „Lumir", „Lidove Noviny", „Orfeus" i inne. Stąd trudność ideologicznej interpretacji tomu.

Świat poezji Wolkera — autora „Gościa w dom" — to, jak to zwięźle określił przyjaciel poety, wydawca i komentator jego utworów — „namiętna, rozkoszna baśń chłopięcego serca".

Wolker należał do pokolenia, które dorastało i dojrzewało w latach wojny. Naturalnie, jak i pozostali jego rówieśnicy, nie zdawał sobie sprawy z jej charakteru. Widział ją jako straszną katastrofę w wymiarach apokaliptycznych, stąd ton pogody i radości po jej zakończeniu, stąd witalistyczne upojenie szczęściem życia poza grozą linii frontowych, stąd chęć rozpostarcia nad światem i ludźmi tęczy pokoju, niesienia tkliwej pomocy, gojenia ran serdecznym uczuciem, wrócenia im poniżonej i podeptanej godności. To wszystko decyduje o przyznaniu rangi ważkości tomowi, ważkości lirycznego świadectwa epoki, nacechowanego niezaprzeczalną szczerością.

Wierszem przez swą wymowę — będącą zresztą wynikiem precyzyjniejszej obserwacji zjawisk społecznych — stanowiącym niejako rekapitulację zawartych w zbiorze utworów, podsumowaniem ideologicznym — jest utwór *V parku před polednem*. Nie bez znaczenia jest jego miejsce w tomie: zamyka on część zatytułowaną — „Chlapec". Nezval — pisze o tym wierszu, że jest „bardzo ważny dla zrozumienia przełomu, jaki dokonał się w Wolkerze".

W wierszu tym odczytamy zapowiedź przemiany, — w perspektywie jutra i pojutrza. Jutro — to „Svaty kopeczek", pojutrze — „Tiežka hodina". Twarda i trudna droga mieszczańskiego syna do rewolucji.

U DZIADKÓW W SVATYM KPECZKU

Podczas któregoś z rzędu pobytu w willi dziadków w Svatym Kopeczku koło Ołomuńca — „Krasna vyhlidka" — dojrzał projekt „Svateho Kopeczka", utworu — zarówno ze względów autobiograficznych, jak i jest, chodzi o zawarte w nim elementy nowego — stanowiącego ważny przyczynek do charakterystyki Wolkera - człowieka, a także wyznaczającego linię jego dalszego rozwoju artystycznego.

Zbliżenie się w Pradze ze studiującą młodzieżą socjalistyczną, kontakty z młodymi robotnikami ołomuckich fabryk — nie mówiąc już o teoretycznym oddziaływaniu Nejedlego, Neumanna, Hory — wszystko to zaznacza się w tym utworze, pisanym na wzór „Strefy" Apollinaire'a. Nie chcę tu sugerować, że termin socjalista (tak siebie Wolker nazywa: „student a socjalista, vierzici vsebe, železne vynaležy a dobreho Ježisze Krista") używa wtedy poeta z pełnym zrozumieniem jego ideowej treści, stwierdzić jednak bezstronnie należy, że humanizm Wolkera ewoluuje „pomalu ale jistie" w kierunku, który powoduje konieczność zmiany przymiotnika określającego go bliżej.

Zaobserwowany i sygnalizowany wyżej nowy stosunek do rzeczywistości nabiera w „Svatym Kopeczku" realniejszych kształtów.

Znaki przemian są niezaprzeczalne mimo pewnych poważnych jeszcze nawarstwień wypływających z jednej strony z niecałkowitego wycofania się z pozycji ideologicznego prymitywizmu, z drugiej zaś z nieśmiałego tylko zbliżenia się do otwartych problemów społecznych.

CIĘŻKA GODZINA I „TIEŽKA HODINA"

Listy Wolkera do przyjaciół rzucają jaskrawe światło na bolesny proces dokonujących się w nim przemian. Zbliżanie się do „życia ze stali i miedzi" zachodziło w wyniku pogłębiającego się stale procesu, którego najdalszą konsekwencją były artykuły krytyczne (zwłaszcza „Proletarzske umieni"). „Tiežka hodina" uchwyciła etap poprzedni — zapowiedź narodzin „serca męskiego". I tu, moim zdaniem, znaleźć można realizację postulatu optymizmu sformułowanego w młodszym o rok programie „Dievietsilu".

Na wiosnę roku 1922 Wolker wyjeżdża nad Adriatyk. W łagodnym klimacie wysp dalmatyńskich dojrzewał Wolker - mężczyzna. W łagodnym klimacie słonecznego południa dojrzała w poecie choroba, która w kilka miesięcy później, 3 stycznia 1924 roku, miała przerwać jego życie. Gruźlica. Choroba wniosła w treść ciężkiej godziny aspekt nowy, ciężką godzinę stanu fizycznego wraz z nieubłaganą świadomością zagrożenia.

W ostatnich dniach października 1922 roku ukazał się drugi zbiorek Jerzego Wolkera — „Tiežka hodina". Pojawienie się „Ciężkiej godziny" było wydarzeniem. Krytyka literacka dostrzegła, że stoi przed zjawiskiem w literaturze czeskiej nowym. Szczególną uwagę zwrócono na ballady.

W syntetycznym studium o Wolkerze J. B. Czapek na marginesie cennych i odkrywczych uwag dotyczących złożoności osobowości poetyckiej Wolkera i głębi jego zrozumienia dla zasadniczych powiązań i zależności wynikających z faktu uczestniczenia w życiu — ze wszystkimi jego konsekwencjami, nawet metafizycznymi („Ballada o marynarzu") wypowiada ciekawe zdanie, zaskakujące swoją trafnością o pokrewieństwie barw świata u Wolkera i Preislera, o przewadze baśniowości. Do charakterystyki tej nawiązał w swoim szkicu o poecie A. M. Pisza Pominął on jednak jej część pierwszą — zbliżającą czytelnika do poezji Wolkera i wyjaśniającą jej specyfikę.

Krajobraz wierszy „Ciężkiej godziny" jest inny. Stąd konieczność użycia barw mocniejszych, ostro znaczących kontury, wyraziście podkreślających koloryt. Pastele idą w kąt. Powstają płótna większe. Dominującą techniką jest olej. Miękki pędzelek zastępuje szpachla nieskąpo nakładająca farbę. Tak oto można by zwięźle wyrazić elementy różnicujące i jednocześnie szkicowo — z zastrzeżeniem dalszych uściśleń — uczynić próbę określenia poezji drugiego etapu rozwoju, do którego 11 wierszy powstałych w 1923 roku oraz garść niedokończonych fragmentów, czy brulionowych szkiców niczego nowego prócz może precyzji postawy — nie wniesie.

W idylliczny krajobraz wdziera się bezwzględna rzeczywistość kapitalistyczna. Poeta wie, że musi stać się mocniejszy, twardszy, że współczucie ze stanowiska samotnego inteligenta jest postawą na wskroś błędną, anachroniczną, że zaznaczająca się coraz wyraźniej linią podziału społeczeństwa na dwa obozy o diametralnie różnych interesach wymaga od człowieka i artysty zdecydowanego wyboru i zajęcia postawy czynnej po jednej z dwu stron barykady. Dotychczasowy rozwój artystyczny Wolkera dopuszczał tylko jedną możliwość: poeta stanął pod sztandarem walczącego o swe prawa rewolucyjnego proletariatu. Było to prostą i logiczną konsekwencją wypowiedzi teoretycznych, było realizacją programowych założeń.

OSTATNI ROK

Podczas pobytu w Prostiejowie — w kwietniu 1923 roku — Wolker zachorował. Wezwany lekarz zalecił prześwietlenie płuc. Zdjęcie wykazało obustronne zmiany chorobowe. W czerwcu poeta wyjechał w Tatry. Schronił się w sanatorium w Tatrzańskiej Poljance.

Gruźlica nie załamała poety. Tylko raz zjawia się motyw zmęczenia, zniechęcenia, a nawet wątpliwości, czy walka, którą toczy, nie jest bezskuteczna. Chwilowo zmienia się nawet zasadniczy ton utworów. Dowodem — niedokończony wiersz o „Kraju, w którym nikt nie umiera".

Na razie jednak śmierć nie zagrażała tak bezpośrednio. Nastąpiła poprawa. Nadzieja powraca. Kilka tygodni spokojniejszych i twórczych. Powstają wówczas utwory: *Stud* i *U roentgena*. Wówczas też pod wpływem świeżej lektury wydanych przez S. K. Neumanna listów Róży Luksemburg, pisze Wolker dłuższy wiersz *Rosa Luxemburgova*.

Był to ostatni okres względnego zdrowia. We wrześniu stwierdzono u Wolkera początki choroby nerwowej, a gdy ta ustępowała zwolna, pojawiło się zapalenie płuc, w listopadzie zaś — ponowne krwotoki. W chwilach ulgi pisze poeta kilka wierszy, przeważnie niedokończonych, które dałyby się porównać z przedśmiertnymi utworami zgasłego młodo autora „Kołysanki Jodłowej". Są to: *Horeczka zelene oczi ma* i *Umirajici*.

Poetycka kronika ostatniego roku coraz rzadziej notuje fakty. Nadeszła ostatnia — śmiertelna — choroba: zapalenie opon mózgowych. Ostatnia faza zmagań o życie, radość, walkę i twórczość. W nieczęstych chwilach przytomności poeta stara się pisać. U schyłku listopada powstają ostatnie dwa wiersze

Towarzysze, dlaczego nie mogę
iść z wami?
Dlaczego muszę umrzeć zamiast
polec w boju?

Epitaf napisany 28 listopada, był pożegnaniem z piórem. Twórczość artystyczna była zamknięta, choć nie zamknął się jeszcze krąg życia.

Ostatniego dnia grudnia Wolkera przewieziono do Prostiejova. Tu wśród najbliższych, w czwartek 3 stycznia 1924 r. zmarł.

Na cmentarzu w Prostiejovie spoczęła w ziemi trumna z ciałem młodego poety; przechodnie czytają napis, który sam poeta — na miesiąc przed śmiercią napisał „nieroztrzesenou rukou":

„Tu leży Jerzy Wolker, poeta, który kochał świat..."

Andrzej Piotrowski

MATEUSZ ŻURAWIEC

PRZEBUDZENIE

ilustrował ANDRZEJ POL

PO KILKU dniach listopad przestał się mazgaić. Zmężniał surowością zimy, okrzepł pancerzami od razu ostrych przymrozków. W jego męskiej, szpakowatej urodzie nie było nic z histerycznego rozchlipania początkowej szarugi.

Ksiądz Lubinia wciągał w płuca suchą mokrość przymrozku, uśmiechał się, gdy sklejały mu się nozdrza i paliły przypieczone zimnem koniuszki odstających trochę uszu. Wsuwał wtedy odmrożone przed laty dłonie pod poły barankowego kożuszka i nie wiadomo dlaczego, stojąc tak na progu plebanii, patrząc w nieruchomość przypudrowanego pierwszym śniegiem ogrodu — czuł w sobie zamglone, ale ciągle obecne wspomnienie zabużańskiej parafii z podobnym ogrodem, podobnym śniegiem, z takim samym przymrozkiem. Ciurkał w nim wtedy, jak pod szybą przejrzystego lodu, strumyk żalu czy jakaś bezadresowa i pozbawiona gorzkości ni to tęsknota, ni to skarga. Otrząsał się z niej jak ze słabości i wpychając głębiej rakowate dłonie w kotlinki ciepła pod pachami, jak mały chłopiec bawił się przez chwilę sklejaniem i rozklejaniem nozdrzy.

Dopiero po chwili dostrzegł świeży ślad na spadłym nocą śniegu. Ktoś od strony cmentarza przyszedł pod drzwi plebanii i odszedł, próbując stawiać nogi w tych samych wgłębieniach. A przecież do domu nikt nie wchodził, z domu nikt nie wychodził. Wikary dopiero chyba się budzi, chociaż zwykle wstaje wcześniej. Wczoraj jednak pracował nad czymś w nocy. Msza za półtorej godziny. Gospodyni trzaska rondlami w kuchni. Śnieg padał jeszcze o świcie. Pukania nie było słychać. Ksiądz Lubinia ma lekki sen. Zresztą już od świtu spał tylko zmrużeniem powiek.

Myśli nareszcie związały się w węzeł: ktoś był pod plebanią, na plebanię nie wszedł, postał pod drzwiami i zawrócił. Ale kto? Stary Bosze leży chory, zaziębił się, już od trzech dni nie przychodzi do kancelarii. Francysia? Nie, to szeroki, męski ślad. Jolek? Tym bardziej nie. Ze dwie albo trzy jego stopy dziesięcioletniego wyrostka zmieściłyby się w jednym wgłębieniu tego śladu. Zresztą Jolek przychodzi tylko na lekcje. Skądby nagle o świcie?

Ksiądz Lubinia — tknięty niedobrą myślą — obrócił się ku drzwiom. Opuścił nagle głowę, jak zawsze, gdy na płotach lub murach spotykał plugawe, nieczyste, łobuzerskie słowa. Podszedł i lekko przytrzymując klamkę z zawstydzeniem czy po prostu niesmakiem usiłował zetrzeć rękawem barankowego kożuszka wyrysowany w pośpiechu na drzwiach kredowy znak swastyki.

Kreda się rozmazywała na wilgotnym drzewie i na skórze rękawa, ale znak był ciągle widoczny zza roztartego pyłku. Ksiądz Lubinia zszedł z trzech stopni ganku, czerwoną, aż sinawą w tej chwili dłonią zebrał z ziemi pecynę śniegu i wrócił do ścierania białej plamy na drzwiach. Robił to niemal automatycznie, spokojnie, prawie z jakąś zawziętą gruntownością. W czubkach palców odczuwał coraz szybciej, coraz gęściej nakłuwające setkami małych szpileczek gorąco.

Nie mógł zrozumieć o co chodzi w tym głupim żarcie. To niewątpliwie głupi, chamski kawał. Bo niby jak inaczej? Kto i po co? Nie wierzył w poważniejszy sens tego łobuzerskiego psikusa. Ale nie ma co ukrywać — zabolał go chyba równie mocno, jak tamten list sprzed kilku dni.

Poczuł, że skroń ma wilgotną. Gdy podniósł głowę i spojrzał w ogród — śnieg padał szerokimi, miękko rozczapierzonymi w powietrzu płatami. Zdawało się księdzu Lubini, że słyszy cichy szum coraz gęściej kołującej bieli. Zbite lepko i roziskrzone w sobie gwiazdki spadały mu na twarz, stroszyły się na brwiach. Jedną z gwiazdek — zawisłą przez moment na pręciku rzęsy — dojrzał nagle z bliska. Była wielka jak gwiazda szopkarzy, rozbłyskana skrzącą fioletowo bielą. Opadła powoli, stopniała na policzki i spłynęła, łaskocząc jak łza. Kołująca miękkimi przegubami biel gęstniała niemal w oczach. Śnieg inkrustował każdą gałązkę, każdy krzew, każdy kołek pomalowanego na zielono płotu. Zwykły kołek stawał się w tej inkrustacji czymś niemal pięknym, dostojnym, niekołkowym. Ksiądz Lubinia cieszył się kołującym szumem bieli słysząc jednocześnie w sobie ciurkanie zapomnianego strumyczka pod lodową taflą. Tak samo, tak samo przeżywał taniec sypkiej miękkości w odległych Ciaptunach...

I w tym wszystkim — w rozmarzeniu bielą i ładnością chwili — pomyślało mu się nagle brutalnie, że śnieg zasypał ślady. I że to chyba lepiej. Nie wiedział, dlaczego lepiej. Może po prostu chciał, aby tego nie było. Kredowy znak starł rękawem, tamte znaki na ziemi giną już pod szklistym puchem. Nieważna sprawa znika w sposób nieważny.

W drzwiach stanął wikary. Patrzył przez chwilę na proboszcza spod ciężkich, jakby jęczmieniem obłożonych powiek, a potem szybko omiótł wzrokiem rozkołysany w śniegu ogród i równie szybko zlustrował drzwi. Ksiądz Lubinia mimowolnie odwrócił się bokiem, aby ukryć ubielony kredą rękaw.

Bardzo wysoko cenił swego wikarego. Był tu wcześniej niż on — proboszcz. I na pewno był energiczniejszy. Na pewno więcej wkładał w parafię. Z żalem myślał, że mu go zabierają. Ale rozumiał, że ksiądz Józef już dawno powinien prowadzić samodzielnie jakąś inną gromadkę. Na pewno doskonale ją poprowadzi.

Ksiądz Lubinia musi jednak widzieć to w ks. Józefie, co wydaje mu się błędem. Może za wiele w nim nawet tej energii, może za wiele pewności działania. Jakiś taki zbyt gorący pośpiech w popieraniu każdej akcji, każdego zamierzenia. Trochę za mało ładu, dojrzałości i chyba trochę za mało — ksiądz Lubinia niechętnie formułuje w sobie to zastrzeżenie, choć jest niezbicie przekonany o jego słuszności — trochę za mało ciepła, wyrozumienia, sympatii dla konkretnych ludzi.

Ksiądz Józef na przykład nie lubi starego Boszkego. Raz nawet się uniósł i krzyknął, że stary powinien iść do swego hitlerowskiego synalka, do Hamburga czy Bonn. Boszke się przestraszył, potem zaperzył, wpadł w swoją zająkliwą, podnieconą niemczyznę i trzeba było interweniować, aby nie doszło do drastycznych scen. Ksiądz Lubinia, gdy byli już sam na sam, robił wikaremu wyrzuty. Kapłanowi przystoi więcej powściągliwości. Ojcowie nie zawsze odpowiadają za winy synów. I w ogóle: trzeba leczyć, a nie rozdrażniać.

No, a ksiądz Józef, zamiast spokojnie i pokornie przyznać się do błędu, natarł na proboszcza. Nie podnosił zgrubiałych powiek, ale mówił bez cienia pokory, przeciwnie, z nutą gorzkiego w głosie wyrzutu, w którym jednak ksiądz Lubinia odczuł miłą mu nawet w takiej chwili sympatię do siebie. Ksiądz Józef oskarżał go o to, że za bardzo ufa ludziom, że nie widzi, nie chce widzieć draństw, które się dzieją. Opowiadał mu o utajonych tu jeszcze komórkach pohitlerowskich, o rozrzucanych ulotkach, o tajnych druczkach ministra Lukaschka, szmuglowanych dla podsycania rewizjonistycznych nastrojów.

Ksiądz Lubinia wiedział, że nie jest najlepiej. Pamięta przecież niejedną spowiedź, wszeptaną mu w ucho obcą mową, spowiedź ludzi w ich poczuciu skrzywdzonych, ocierających się nieraz o własną nienawiść, żal, czy chęć zemsty. Ale — jego zdaniem — ksiądz Józef — jak we wszystkim — tak i w tym przesadza. Przerwał mu więc radą, by nie mieszali się do polityki, a pilnowali swej trzody. Na to ksiądz Józef — czego robić nie powinien i co dotknęło bardzo księdza proboszcza — podniosł głos niemal tak jak w rozmowie ze starym kancelistą.

— W tej trzodzie wilkołaki krążą! Podrzynają gardła owcom. Tu idzie na ostro. Ksiądz ciągle mówi o łagodności gołębicy. A nakazano nam i przebiegłość węża. Sprawa wilkołaków — powiadam — dosłownie: wilkołaków, to nie tylko sprawa U-Be. To jakoś i nasza sprawa. Inaczej, ale i nasza.

Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna ksiądz Lubinia plasnął wtedy dłonią mocno o stół i przerwał swemu wikaremu. Wikary wstał, skłonił się lekkim przegięciem ciała i poszedł do swego pokoju. Długo chodził tam mocnym, nerwowym krokiem. Od tego czasu nie rozmawiali o podobnych sprawach. Ksiądz Lubinia z niepokojem pomyślał, co by to było, gdyby ksiądz Józef, a nie on, odebrał od Boszkego zabazgraną anonimowo kartkę z kratkowanego zeszytu. I teraz też się udało z kredową swastyką. Na pewno nie zauważył.

— Ależ syple. Jak z pierzyny. Czy ksiądz chce się zaziębić?

— Nie przesadzajmy — uśmiechnął się ksiądz Lubinia — ciągle tak manewrując zabrudzonym biało rękawem, by wikary niczego nie spostrzegł. — Przyjemnie popatrzeć. Czytałem gdzieś, nie pamiętam już gdzie, że śnieg jest jak łagodna mądrość. Chyba trafne, nie?

— Nie znam się na tych mądrościach. Ale wiem, że śnieg jest wilgotny, a ksiądz ma reumatyzm i odmrożone ręce.

Proboszcz obserwował z uśmiechem swego wikarego. Znów czuł w szorstkim jego głosie tak miły mu ton męskiej, zamaskowanej serdeczności. Chciał jakoś odpłacić cieplejszym słowem, gdy wikary — do tej pory patrzący spod ociężałych powiek w przerzedzającą się już pląsaninę śniegu — odwrócił się nagle ku niebu i błysnął niebieskością oczu. Po chwili znowu spuścił do połowy powieki i przesadnie obojętnym głosem — patrząc jak przed chwilą w coraz wolniej kołujące płatki — zapytał:

— Dzisiaj zdążył narysować tylko swastykę? Czy też starczyło mu czasu i na „heil?"

Ksiądz Lubinia znieruchomiał w zaskoczeniu, a wikary — jakby chcąc mu dać możliwość schwycenia równowagi — dorzucił:

— Kredy nie wyciera się na sucho. Drzewo jest porowate. Tylko się zamazuje. Najlepiej wilgotną ściereczką.

Ksiądz Lubinia spróbował przemycić całą sprawę jako żart.

— Podglądanie to brzydka metoda współpracy. Wzrok sobie można zepsuć.

Ale wikary nie poszedł na dowcipy. Znowu łysnął niebiesko oczyma.

— Nie podglądałem. Tylko — akurat dzisiaj musiałem zaspać. Nie zdążyłem wytrzeć jak zwykle.

Ksiądz Lubinia szybko zrezygnował z próby bagatelizowania całej sprawy. Pytał zdecydowanie, prawie ostro.

— Jak to: jak zwykle?

— A no, tak to: już pięć czy sześć razy malowali tu takie hece na drzwiach. Chciałem drania przyłapać, ale za każdym razem przyłaził w innej porze. To już tak od jakichś dwóch tygodni. Ksiądz chciał mieć spokój, więc chciałem, żeby ksiądz miał spokój. Nie udało się. Ksiądz pozwoli, wytrę ten rękaw.

Wyjął wilgotną szmatkę i starł smugi kredowego pyłu ze skórzanego rękawa. Ksiądz Lubinia obracał się trochę manekinowato. Miał poczucie, że ktoś wyreżyserował tu jakiś niezabawny kawał, a jednocześnie szło gdzieś od środka zrozumienie, że to nie kawały, nie łobuzerskie psikusy, ale podstępna, wroga, o niewiadomej twarzy, ale wyczuwalnym błysku niedobrych oczu złość ludzka. Złość wilkołaka — przypomniało się nagle księdzu Lubini.

Wikaremu jakby się żal zrobiło proboszcza, odwracał oczy od jego zdumienia, udawał, że nie widzi dzisiaj nagle warg i spojrzał w ogród.

— Przysypało po kostki. Śladu ani śladu — zaryzykował nawet rozweselający niby kalambur.

Ale ksiądz Lubinia patrzył z niepotrzebnym natężeniem na śnieg, który przykrył wgłębienia tamtych stóp. Wikary skinął głową w kierunku cmentarza przykościelnego.

— Stamtąd?

Proboszcz mechanicznie przytaknął. Zrobiło mu się nagle zimno i zaczął otrzepywać buty ze śniegu, spozierając w milczeniu ku drzwiom. Zatęsknił do ciepła swego przytulnego pokoju. Ale wikary przytrzymał go za łokieć.

Od strony kancelarii parafialnej biegła Francysia. Potykała się w kopnym śniegu, tryskały spod jej nóg puszyste fontanny pyłu. Już od bramy ogrodu pokrzykiwała coś ochryple i dawała bezradne znaki rękami. Gdy dobiegła ganku, nie mogła tchu złapać. Włosy przylepiły się jej do czoła, w kącikach ust zebrała się ślina, pierś tęga i rozlana falowała nierówno. Odczekali obydwaj chwilę, aż się uspokoi. Pokazała ręką na przycupnięty obok zakrystii budyneczek kancelarii parafialnej i zachrypiała bezradnie, potykając się na dłuższych słowach, połykając sylaby.

— Tam, o Jezu, porwali. Wszystko na ziemi... Zciadrachane... Otwieram... A tu... Co za ludzie, co za ludzie!

Wikary nie wytrzymał.

— Przestań ziajać, nie chlip. Mów jasno, o co chodzi.

Dziewczyna przerwała, zalęknionа groźnym tonem głosu. Ale ksiądz Lubinia wrócił do dawnego siebie. Skarcił przelotnym spojrzeniem księdza Józefa i uśmiechnął się wyrozumiale do dziewczyny.

— Uspokój się, Francysia, odsapnij. No? Już? Teraz powiedz. Co w kancelarii?

Gdy wydobyła wreszcie z siebie oddech, usłyszeli zbełkotaną, nieprzejrzystą opowieść. Więc miała zabrać dzisiaj szary papier do obłożenia nowych książek. Pan Boszke dał jej wczoraj klucz. Więc przychodzi i patrzy, a tu drzwi otwarte.

Wikary już nie słuchał. Ruszył ku kancelarii. Ksiądz Lubinia wyprzedził go jednak szybko. Obok biegła Francysia, wysapując resztki relacji.

— ...drzwi otwarte, księgi, te grubachne od metryk na podłodze, spaćkane, podarte. Nie wie jeszcze co, bo taki strach ją chwycił, że przybiegła zaraz tutaj.

Śnieg chrupał pod nogami księdza Lubini coraz mocniej. Proboszcz wyprzedził wikarego i Francysię i odrzuciwszy gdzieś pięćdziesiąt lat, zapomniawszy o chorobie, zmęczeniu — biegł, jedną dłonią przyciskając kolkę w boku, a drugą trzymając mocno podkasaną sutannę. Dopadł pierwszy.

Rozkrzyżowanymi szeroko ramionami oparł się o framugę uchylonych drzwi. Pchnął je mocno kolanem, aż łupnęło w kości. Zawisł w wychyleniu nad progiem, przyhamowany nagle bolesnym zdumieniem.

Kancelaria wyglądała jakby szalał w niej zły, przebiegły wiatr. Księgi metrykalne leżały stłamszone na podłodze. Widać ktoś po nich deptał nogami w zabłoconych butach. Cieńsze, nie oprawne w grubą tekturę próbował drzeć. Odnalazł także kilka butelek z atramentem, które skrzętny Boszke przechowywał za szafą. Atrament powylewał na księgi. Upaćkał je w niebieskiej, czerwonej i zielonej mazi. Próbował widocznie przedtem podpalać bezładny stos, ale albo go ktoś spłoszył, albo zaniechał z jakichś względów ten zamiar, bo tylko kilka kart zwinęło się w zwęglone ruloniki. Chlusnął jedną butelką atramentu na ściany, zdarł mapę, która wisiała w kącie obok szafy. Wszędzie widać było jego obecność, złą, niszczycielską, wysiloną w tym, by jak najwięcej zbrudzić, potłamsić, zohydzić.

Księdzu Lubini przemknęło przez myśl, że musiało ich być kilku, jeden nie mógł wykipieć się taką wściekłością.

Głośno tę myśl wyraził świszczący ze zmęczenia przez nos wikary.

— Przyszli całą szajką. Używali, ile się dało. Trzeba się dokładniej rozejrzeć.

W księdzu Lubini wszystko nagle oklapło. Z trudem przekroczył próg. Siadł na najbliższym krześle. Bezmyślnie spoglądał na pochlipującą Francysię. Podniósł z podłogi stłamszoną i upstrzoną atramentowymi plamami księgę urodzin. Trafił akurat na rocznik przedostatni. Bezmyślnie wyłapywał spod atramentowych zacieków imiona, które w zeszłym roku wypowiadał ze znakiem krzyża świętego nad małymi, zmarszczonymi twarzyczkami niemowląt. Boziech Marianna, Bocian Zenon, Bohler Franciszek, Dygas Antoni...

Wikary ostrożnie, jak po mokradle stąpał wśród porozwalanych ksiąg, podartych zapisów, porozwłóczonych w atramentowych kałużach tomów biblioteki parafialnej. Twarz miał spokojną, skupioną, wzrok spod obrzmiałych powiek systematycznie obmacywał każdy niemal szczegół.

Chrząknął ostentacyjnie, więc ksiądz Lubinia odłożył resztki podartej księgi i podszedł ku niemu. Pod krucyfiksem wisiał oszklony emblemat państwowy. Tamci odwrócili go orlą głową do ściany, a na odwrocie palcem umaczanym w atramencie wymalowali znak, który ksiądz Lubinia dzisiaj rano, przed niespełna godziną wycierał rękawem z drzwi plebanii.

— Tego nie wytrzemy. To zostanie — bez złośliwości, lecz z gniewem mruknął wikary. Odwrócił emblemat atramentowymi zygzakami ku ścianie i starł kawałkiem papieru ślinę rozmazaną na szybce, ochraniającej orła od kurzu ksiąg parafialnych.

Księdzem Lubinią wstrząsnął ostry dreszcz. Wikary spojrzał na niego bacznie.

— Idziemy. Nie ma tu co robić. Uporządkuje się później. Ksiądz gotów się zaziębić. Zresztą czas do kościoła. Jolek, zdaje się, dzwoni.

Francysia zamknęła za nimi drzwi na klucz, który wczoraj wzięła od Boszkego. Powiedzieli jej, żeby nie rozgadywała, ale żaden nie wierzył w gorliwe zapewnienie, że słówkiem nie piśnie. Pobiegła do domu, jakby ją kto gonił.

Szli wolno ku plebanii, nie odzywając się do siebie. Ksiądz Lubinia umył w kuchni ręce. Nie odpowiedział na nagabywania Karpikowej, która wypytywała, co zrobić na śniadanie. Wikary czekał już na niego przed progiem. I w drodze do kościoła nie zamienili ze sobą ani słowa. Dopiero gdy wchodzili do zakrystii, gdzie krzątał się już z ministrancką gorliwością Jolek, ksiądz Lubinia powiedział cicho do księdza Józefa:

— Raz już tak miałem. Ale tam, no tam byli hitlerowcy.

Wikary szarpnął się narowiście:

— A tu? Ksiądz nie zauważył? Zniszczono tylko księgi urodzeń Polaków. W szafie stoją nieruszone dawne annały Wiederhollera.

Jolek spojrzał na nich, zdziwiony innym niż zwykle wyrazem twarzy proboszcza.

Ksiądz Lubinia nie odpowiadał już wikaremu. Spokojnie osunął się na klęcznik, ukrył twarz w dłoniach. Trudno mu dzisiaj przychodziła chwila skupienia przed mszą. Długo przesypywał w sobie słowa modlitwy, które grzechotały w nim jak suszony groch w bębnie, obce jakoś samym sobie i bezradne w zamęcie rozchwierutanych myśli.

Wreszcie — sam nie wiedział jak i kiedy — spłynęło na niego nagłe uciszenie. Przyjął je w siebie, wdzięczny za nie jak za potrzebny mu bardzo dar. Słowa modlitwy nabrzmiały w tej samej chwili dobrą, jasną treścią. Nie były już słowami. Były modlitwą. Wstał spokojny już i — aż wikary zazdrośnie się zdziwił — niemal uśmiechnięty. Zaczął się ubierać.

Gdy Jolek pracowicie marszczył mu z tyłu długą albę, ksiądz Lubinia postanowił, że msza, którą za chwilę ma odprawić, będzie mszą o specjalnej intencji. Pewnie ujął kielich w dłonie i poprzedzany przez Jolka dźwigającego mszał, schylił głowę przestępując próg zakrystii.

Objęły go chybotliwe płomyki świec. Postawił kielich na sztywno wykrochmalonym obrusie ołtarza i — nie patrząc na ludzi zebranych w kościele — zszedł po stopniach ku modlitwie „Introit".

Słyszał jeszcze za sobą szmer gromadnego przyklęku, skrzyp ławek i pochrząkiwania starych babek gotujących się do śpiewu, ale już wiązał się coraz mocniejszym uczestnictwem w radości ołtarza. Przez ułamek sekundy, niejako niezależnie od niego, mignęło w nim pytanie wplątane w pokasływania parafian — „Czy któryś z nich? Czy któryś z nich także był z tamtymi?" Wystarczyło jednak, by niżej pochylił głowę w ostatnich słowach modlitwy, a już — podchodząc ku ołtarzowi i kładąc rękę na złoconej okładce mszału — był cały w radości spełniania ofiary.

Za nim działo się śpiew, szmer odmawianych półgłosem modlitw i skrzypienie ław, w nim zaś pełna żarliwości wiara w przeistoczenie tym, co czynił przy ołtarzu tych, którzy widzieli tylko ruchy jego rąk, skłony jego głowy, wysokie wzniesienie kielicha i głęboki pokłon przy komunii.

Ksiądz proboszcz Lubinia odprawił mszę świętą w intencji naprawy ludzi, którzy niszczą księgi narodzin.

*

NADĘTA Karpikowa podawała śniadanie wikaremu i proboszczowi w zdecydowanie odwróconej kolejności. Właśnie najprzód wikaremu, a potem proboszczowi. Inaczej niż codziennie. Wikary, strofując ją wzrokiem, przesuwał filiżankę z mleczną kawą na stronę proboszcza, ale Karpikowa talerzyk z jajecznicą znowu postawiła przed nim, a dopiero później poszła po talerzyk z drugą porcją. Wikary znów przesunął talerzyk na stronę proboszcza. Karpikowa wróciwszy z kuchni dostrzegła tę wymowną poprawkę, fyrknęła nosem i przesunięty przez wikarego talerzyk z jajecznicą postawiła znowu przed nim, przed proboszczem stawiając ten, który przyniosła za drugim razem. Wikary już czuł buzujące w nim rozgniewanie, już chciał fuknąć podniesionym głosem, ale ubiegła go Karpikowa.

— Niech mi tu ksiądz nie przestawia. Jak postawiłam tak, to znaczy, że tak. Znaczy się, wiem co komu.

Ksiądz Lubinia spojrzał na nią z jakimś dalekim uśmiechem, przycichła więc i jakby z niechęcią wyjaśniła wikaremu:

— Przecież ksiądz proboszcz musi bez soli. Nie? Lekarz sam mi mówił: Gosposiu, ani grama, choćby potem rozgrzeszenia wam dać nie chciał. Znaczy się: nic nie można. Toteż nie ma co przesuwać, Niech stoi jak stoi.

Odeszła jeszcze bardziej nadąsana, szurgając potem w kuchni głośno pobrzękującymi garami. Wikary wymienił z proboszczem niezbyt dokładny uśmiech ni to zażenowania ni rozbawienia i wzruszywszy ramionami zabrał się do wystygłej już trochę jajecznicy. Nie bardzo chciało mu się rozwodzić nad — niby to troskliwą, lecz zdecydowanie dzisiaj zaostrzoną — szorstkością Karpikowej.

Ale ksiądz Lubinia niechętnie przełykając pozbawioną smaku jajeczną papkę, domyślał się, że pobrzękiwanie w kuchni jest dalszym ciągiem zamaskowanej manifestacji. Znał Karpikową dobrze, wiedział, że mamrocze do siebie w tej chwili twarde, nieładne słowa. Całe szczęście — pomyślał — że ksiądz Józef nie słyszał ich rozmowy sprzed pół godziny. Na pewno by nie wytrzymał. Na szczęście wszystko się skończyło, no, nie, skończyć to się nie skończyło, ale przeszło przed jego przyjściem.

Ksiądz Józef odprawiał „swoją" mszę po proboszczowskiej. W czasie jego mszy ksiądz proboszcz siedział w konfesjonale, jak zwykle załatwiając grono najgorliwszych, nie czekających niedzieli lub pierwszego piątku miesiąca penitentów. Jak zwykle znakiem krzyża i puknięciem w drewnianą kratkę konfesjonału unicestwiał małe i brudne grzeszki bab. A to, że podpatrzyła swoją córkę z zięciem, a to, że diabeł ją podkusił do głupich podmacywań z takim jednym, a to, że pożyczyła sobie troszkę węgla z piwnicy sąsiadki, kiedy tamta nie widziała. Ksiądz Lubinia słuchał szeptów nabrzmiałych wzruszeniem żalu i szeptów odklepujących ustalony niejako katalog przewinień, czuł woń tytoniu albo tanich perfum albo spoconego ciała. Odgadywał — nie patrząc przez kratkę — kto mówi. Odpędzał od siebie twarze i nazwiska, chociaż jednocześnie musiał je pod przymkniętymi powiekami widzieć, jak własną

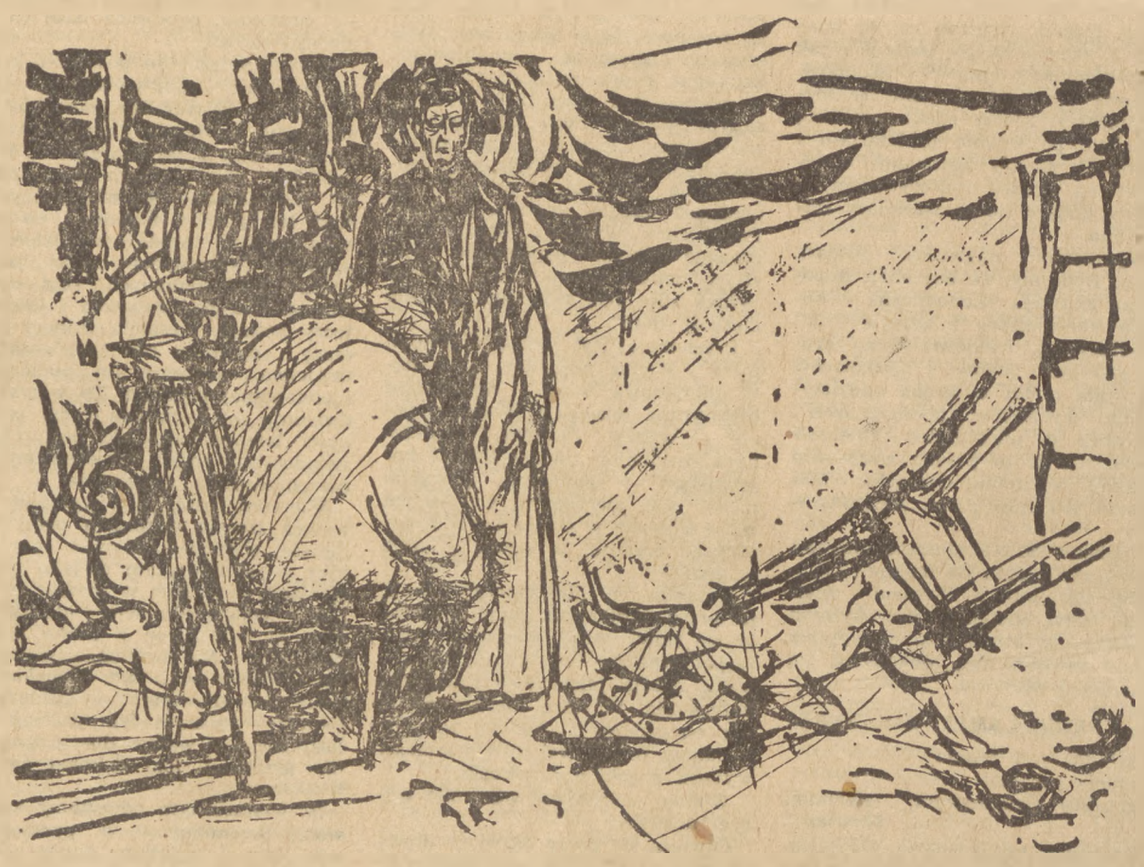

Z tomu pt. „Cierpkie winogrona", który ukaże się niebawem w Wydawnictwie Pax.

twarz w lustrze, chociaż musiał je pamiętać dokładnie, nieuchronnie. Wbrew samemu sobie identyfikował szepty, zapachy, ba, rodzaj grzechów nawet: Bocianowa, Dygas, Fibejkel... Strofował się surowo, ale z pewną emocją wyczekiwał zaprzeczenia swoich przewinywań. Za kratką konfesjonału ciągotliwe chlipanie nosem. Chcąc nie chcąc ksiądz proboszcz odwracając nawet głowę, zdobywa pewność: stary Fibejkel. Od razu natrętna myśl: czy znowu ta historia z wnuczkiem? Długie wyczekiwanie. Normalny katalog letnich grzechów: na mszę świętą się spóźnił, postu nie przestrzegał, sąsiada, który mu kurę przetrącił kamieniem, skląt od ostatnich nieprzystojnymi słowy. Wreszcie w ł a ś n i e to: wnuczka skrzywdził. Nie chciał, bardzo nie chciał, ale skrzywdził. Pamiętał dobrze rady księdza proboszcza, ale skrzywdził. Znowu ta sama historia. Rodzice wnuczka wyjechali do miasta, jak zwykle, na handel, no i zostawili dziadka, aby się wnuczkiem zaopiekował. I zostawili miód. Bo wnuczek lubi. I znowu stary zjadł miód, a wnuczkowi nie dał. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Pobożny Fibejkel bił się w piersi, aż huczało, ksiądz Lubinia odpukiwał jego łakome. starcze grzeszki i nie patrząc na pomarszczoną, smutną twarz całującego jego stułę, przechylał się ku drugiej kratce.

Od razu po kiepskim zapachu tanich perfum, kożucha i spoconej skóry domyślał się grzechów młodej Bochlerki. Początek trzepała z wielką wprawą: trzy razy nie była w kościele, siedem razy zapomniała o wieczornym pacierzu, pięć razy zgrzeszyła niewstrzemięźliwością w piciu, dwanaście razy słowem nieczystym. Ksiądz Lubinia smutnie szedł za tą arytmetyką ludzkiej słabości, oczekując z bolesną pewnością chwili, kiedy sumienność buchalteryjnych wyliczeń dobrnie do cichego zawstydzenia. Jak zawsze, w pewnym momencie Bochlerka zaczęła się plątać, sciszać, wreszcie zamilkła, poświstując przez nos z wielkim zażenowaniem. Zmuszał się do stereotypowego pytania: Co jeszcze? Nic więcej nie pamiętasz? Jak zawsze wierciła się przez chwilę, wreszcie przywarła gorącym szeptem do kratki. Ksiądz Lubinia — wstydząc się za nią — ciągle stwierdzał, że nie może się pomylić. Znowu to samo: „Zgrzeszyłam grzechem nieczystym". Szeptała zdania o jakimś kolejarzu, o tym, że niestety to było trzy razy. Kolejarz mówił, że... Ksiądz Lubinia musiał ją powstrzymywać od szczegółów, tłumaczyć, że to go nie obchodzi, że to nie kolejarz, ale zwierzak. I że ona też. Przyznała mu rację skwapliwym potakiwaniem, cicha, spokorniała, pełna poczucia winy. Pukał w konfesjonał rozżalony nad straszliwą prawidłowością, kalendarzową niemal systematycznością ludzkiego grzechu. Gdy przechylał się po chwili ku ciężko woniejącemu dziegciem Dygasowi, Bochlerka cmoknąwszy złoty haft stuły, sięgała ustami ku jego dłoni. Z trudem hamował w sobie gest nieufnego protestu.

Po kilku w zadumie odpukanych spowiedziach, gdy już mu się zdawało, że poza schowaną Rzepliską nikt nie tęskni do czystości sumienia — od strony męskiej zabrzmiało za kratką nieznane chrząknięcie. Ledwie się powstrzymał, aby nie zerwać się ku niespodziewanemu grzesznikowi. Gdy tamten pochwalił Jezusa Chrystusa, ksiądz Lubinia był pewny, że już ten głos na pewno gdzieś słyszał, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. I tak, jak od ciekawego zerknięcia poprzez kratkę, powstrzymywał się od przypomnienia, dojrzewającego wbrew wszystkiemu w niejasny domysł.

Tamten, starannie dobierając słów, od razu na początku wyjaśnił, że ostatnio był u spowiedzi zaledwie cztery dni temu. „Cztery dni — monologował księdzu Lubini tłustym szeptem do ucha — cztery dni, to mało i bardzo dużo". Wytłumaczył dokładnie, że mało, jeśli chodzi o grzechy ciężkie, no, w ogóle o obrażenie Pana Boga jakąś śmiertelną przewiną. Ale dużo w tym sensie, że nachodzą człowieka wątpliwości, poważne wątpliwości. „Chciałbym — szemrał melancholijnie za kratką — aby ksiądz zechciał być rozjemcą w tych wątpliwościach. Sprawa to trudna, lepiej chyba spowiadać się z wątpliwości, niż z grzechów". Zamilkł wyczekująco.

Ksiądz Lubinia poruszył się niespokojnie. W swojej parafii przywykł do spowiedzi prostych, bezpośrednich. Obcował w nich z wielkimi nieraz grzechami, uginała mu się nieraz pod ich brzmieniem ręka dźwigająca gest absolucji, ale umiał je nazwać po imieniu, znał niejako ich wymiar, ciężar, niemal zapach. Były konkretne jak ludzie. Mógł ich prawie dotknąć, a na pewno ogarnąć swoim rozumem, swoją wyrozumiałą surowością. Wiedział po prostu w czym rzecz, A tu nagle coś niejasnego. Coś umykającego przed wymiarem jego wyobrażeń. Coś przeciekającego przez palce. Tak. Trzeba to tak nazwać: coś podejrzanego. Nie przychodzi się przecież do konfesjonału z wątpliwościami, przychodzi się z pewnością grzechu. I z pewnością żalu.

Z trudem powiedział ku tamtej zawieszonej w wyczekiwaniu ciszy: „Mój synu. Czasem wątpliwości są większym grzechem niż pewność, że się popełniło grzech." Pomyślał, że mogło to zabrzmieć sztucznie, literacko jakoś, tak, jakby chciało współbrzmieć ze sztuczną wyszukanością słów z tamtej strony kratki. Nie poprawiał się już, aby nie pogorszyć tego, co powiedział. Przechylił z ociąganiem głowę ku nowej fali melancholijnego szeptu.

„Właśnie, proszę księdza. Właśnie ja — dlatego. Nie chcę mieć wątpliwości, które mogą być grzechem". Rozszeptał się nagle wylewnie, drobiazgowo, ani na chwilę nie zapominając o troskliwym doborze słów.

Jego wątpliwości dotyczą, jeśli tak można się wyrazić, podziału sumienia. Tak. Podziału sumienia, dobrze mówi. Czyli rozbieżności między tym, co musi oficjalnie, jako, jeśli tak można się wyrazić, obywatel i tym, co powinien, wewnętrznie, jako miłujący bliźniego katolik, albo po prostu jako ktoś, kto nie chce szkodzić drugiemu człowiekowi. A to często prowadzi do kolizji, dobrze mówi, do niezamierzonej kolizji z ósmym przykazaniem, albo z tak zwanym prawem.

Odsapnął, przeniósł ciężar ciała z jednego kolana na drugie, wplótł palce między kratki konfesjonału. I nagle te palce zmusiły księdza Lubinię, aby sobie przypomniał. Niejasne domysły musiały stać się pewnością. Odrzucał od siebie nazwisko, przymykał oczy, aby nie widzieć spoza kratek wyraźnego owalu twarzy, ale pod przymknięte powieki wciskała się pomniejszona, lecz dokładnie widoczna, jak zawsze sacharyną uśmiechnięta twarz tamtego.

Trzeba było — wbrew przypomnieniom i domysłowi — przymusić się do uważnego słuchania, bo po ogólnikowym wstępie, niby w formie przykładu wypłynęła konkretna historia.

„Niech ten przykład posłuży księdzu proboszczowi do wyjaśnienia mi moich wątpliwości. Specjalnie tu przyjechałem. Specjalnie, więc..."

Niecierpliwe poruszenie się księdza Lubini, który chciał jak najszybciej mieć tę spowiedź za sobą, przynagliło tamtego. Ksiądz Lubinia skarcił się za brak opanowania i — pełen skruchy, ale jednocześnie i przytajonej nieufności — znowu podjął w siebie tamten szept.

Więc na konkretnym przykładzie. Pewien jego znajomy dał mu na przechowanie pewną rzecz. No, jakieś papiery. Urzędowe papiery. Potem ten znajomy został aresztowany. Okazało się, że ukradł jakieś papiery. Tak, właśnie te. Oskarżony został o robotę szpiegowską. Przez nich. Więc na pewno niesłusznie. Człowiek żonaty, czworo dzieci, katolik. Apolityczny. Żona wiedziała, gdzie te papiery są. I przyszła. Prosiła, żeby jej te papiery zwrócił i nikomu nic nie mówił. Zwrócił. Przyrzekł, że nie powie. Przyszli do niego z tego urzędu. Pytali, czy nie ma tych papierów. Powiedział, że nic o nich nie wie. Niby skłamał. Ale ocalił człowieka. No, a zresztą, czy wobec takich jak tamci obowiązuje norma ósmego przykazania? Ma wątpliwości. Ksiądz powiedział, że wątpliwości mogą być grzechem. Więc specjalnie przyjechał.

Ksiądz Lubinia poruszył się, aż zaskrzypiał masywny konfesjonał:

— Skłamałeś, czy nie?

Za kratkami chwila zdziwionego milczenia. Paluszki wyplątały się z drewnianej plecionki. Odpowiedź pulsowała powściągliwą urazą.

— Niby tak. Ale...

— Skłamałeś, czy nie?

W księdzu Lubini rósł niecierpliwy ambit ukazania tamtemu całej jego nieprawdy.

— Powiedz, wiesz, że skłamałeś? Żałujesz?

Odpowiedź zza kratek nie kryła już urazy.

— Ja do księdza specjalnie, Ja, żeby... A tu...

Wtedy ksiądz Lubinia — rozpłaszczył twarz o kratkę i jeszcze raz powtórzył:

— Skłamałeś? Tak? I przychodzisz, abym uznał twoje kłamstwo? Pobłogosławił?

Opadł nagle zmęczony wysiłkiem ściszania głosu do szeptu. Tamten zupełnie już chłodno, konwencjonalnie, wyznał:

— Żałuję, że z tymi wątpliwościami przyszedłem aż tu. Następnym razem — nie będę miał wątpliwości.

Podnosił się ociężale z klęczek. Wtedy ksiądz Lubinia jeszcze raz przylgnął twarzą do kratek.

— P a n nie powinien w tym wypadku mieć wątpliwości. Jako p r a w n i k wie p a n doskonale...

Chciał dodać jeszcze „A jako katolik..." ale tamtego nie było już przy kratce konfesjonału. Ksiądz Lubinia, boleśnie skulony w sobie, słyszał jego podskokliwy kroczek, głęboki przyklęk przed ołtarzem i szybką, dyskretną rejteradę ku drzwiom kościoła.

Odczekał w półmrocznej ciszy aż opadnie w nim rozkołysana smutna fala wzburzenia. Było w tym wzburzeniu coś z niepewności. Plątała się w tej niepewności nieskrystalizowana jeszcze w swoich prawach dialektyka przykazań o miłości prawdy i miłości bliźniego. Domagało się od niej odpowiedzi ostre, surowe pytanie: więc jak, czy sprawa jest tak niezłożenie prosta? Ksiądz Lubinia pochylił twarz w zadumie. Nikt więcej nie podchodził do spowiedzi. Odmówił krótką modlitwę, przepraszając Boga za swoją szorstkość wobec grzesznego bliźniego i — przewiesiwszy stułę na ściance konfesjonału — poszedł ku zakrystii. W połowie drogi rozweselił go dzwonek Jolka, który służąc do mszy księdzu Józefowi, zapowiadał właśnie Podniesienie. Ukląkł przed jaśniejącym w dłoniach wikarego krążkiem Hostii, wziął w oczy blask wzniesionego w chwilę potem kielicha i uspokojony trochę zarzucił w zakrystii na ramiona barankowy kożuch.

Na dworze uderzył go niespodziewany blask listopadowego dnia. Blade słońce grało na śniegu sztucznym, odbitym przepychem. Dopiero gdy wszedł do ogrodu przy plebanii — zabolał go przykry ślad bezładnego biegu, jakim pędzili we troje — wikary, Francysia i on — ku kancelarii parafialnej. Zburzona czystość śnieżnej powłoki jakoś mu się skojarzyła z brutalnym bezładem podartych i poplamionych atramentem ksiąg.

Może dlatego, gdy wieszał w przedpokoju barankowy kożuch na złamanym rogu jelenim, był znów zarażony dokuczliwym smutkiem i rozdrażnieniem. Usprawiedliwiał się przed samym sobą, że po prostu jest osłabiony i to dlatego, że śniadania jeszcze nie jadł, ale akurat wtedy napatoczyła się Karpikowa i wyskoczyła z tymi swoimi psioczeniami.

Do humorów Karpikowej już się przyzwyczaił. Do tego, że dawniej była słodka jak plaster miodu, a z czasem stała się kwaśna jak ocet — też przywykł. Od samego początku zresztą traktował ją z dużą dozą rezerwy, było mu to wygodne, nie dążył do jakichś zmian istniejącego układu stosunków. Była pracowita, skrzętna, niezwykle skrupulatna — i to w niej cenił. Miała za sobą jakąś bolesną historię: jej męża, o którym mówiła jako o bohaterze, rozerwał niewypał przy szabrowaniu w jakiejś poniemieckiej willi. Mówiła o nim „Sasinek" i utrzymywała, że był pionierem. Dobrotliwie nie zaprzeczał. Księża z sąsiednich parafii, gdy odwiedzali go od czasu do czasu, nadziwić się nie mogli, dlaczego przyjął takiego koczkodana. Twarz Karpikowej porżnięta była głębokimi szramami, dolna warga zasklepiona okrutną, błoniastą blizną. Któraś z sąsiadek opowiadała, że to Sasinek rzucił w nią kiedyś po pijanemu lampą naftową. Ksiądz Lubinia na zdziwione pytania konfratrów odpowiadał półżartobliwie: „Właśnie dlatego, moi drodzy, właśnie dlatego".

Karpikowa dbała o księdza Lubinię więcej jak o siebie. Ale z pobłażliwości jego korzystała bezceremonialnie. Pozwalała sobie często na szorstkie gesty, słowa twarde, miny nieprzyjazne.

Z taką właśnie miną obserwowała go, gdy powiesiwszy kożuch, ściągał z trudem śliskie, wbite na buty z cholewami kalosze. Głos miała warkotliwy, zły, jakbyś palcem pociągnął po tarce.

— I co ksiądz na to wszystko, nic?

Spojrzał na nią, jak zawsze, z dalekim, pobłażliwym uśmiechem. Jakby ją sparzył.

— Ksiądz udaje, czy co? Przecież to już pojęcie ludzkie przechodzi!

Przyjrzał się jej poważniej już, pytająco.

— No, mówię przecież o tej kancelarii!

Wtedy dopiero drgnął i — chociaż zawiedziony — pomyślał niemal żartobliwie „Oj, Francysia, Francysia. Przysięgała, że słówka nie piśnie. Babski język!"

A Karpikowa już kipiała w niepohamowanej, dzikiej pasji.

— Ze cztery razy tu do mnie przylatywały sąsiadki. Wątorska, Maciakowa, Willichina i ta garbata od Dygasów. Coś trzeba zrobić — krzyczały. Ksiądz proboszcz święty człowiek, ale tak dłużej nie można. Bo jak nie, to one same do oczu im skoczą.

Ksiądz Lubinia przywrócił połysk butom i podniósł zaczerwienioną w pochyleniu twarz:

— Komu? O co chodzi? Spokojniej...

Karpikowej zasiniała błoniasta blizna.

— Spokojniej! Spokojniej! Tam łamią krzyż, zrzucają święte obrazy ze ścian, wypisują bezbożne słowa, a tu — spokojnie. Figurę Matki Boskiej podobno roztrzaskali. Komuniści, antychrysty, niedługo kościoły w tej swojej nowej Polsce spalą. A ksiądz — spokojniej, spokojniej.

Stała nad nim rozdygotana, pazerna jakaś, chciwa słów głośnych, obraźliwych, potwierdzających jej gniew.

W księdzu Lubini strzelił nagły, olśniewający płomyk czegoś, czego jeszcze w pełni nie pojmował. Podsyciło ten płomyk zsumowane nagle — nieświadomie, odruchowo niemal gorzkie wspomnienie kartki z kratkowanego zeszytu, dopisku w liście Kazimierza, kredowego znaku na drzwiach plebanii, stłamszonych ksiąg, czarnej, pająkowatej mazaniny na odwrocie emblematu, szeptów wątpiącego w ósme przykazanie penitenta. Aż zakłuło go w piersiach.

Podszedł jednak spokojnie do drzwi i — już z ręką na klamce — odwrócił się ku Karpikowej. Cichym, lecz dobitnym jak nigdy głosem powiedział, patrząc w jej pobielałe niemal ze złości oczy:

— Jedno wielkie kłamstwo. I podłość. A może — zreflektował się — wielka głupota. Powiedzcie to Wątorskiej, Maciakowej i Willichinie i tej biedaczce od Dygasów. Niech lepiej pilnują czystości swoich domów. Za dużo mówi się o ich bimbrowni. Nikt krzyży nie łamał, obrazów nie bezcześcił. Figura Matki Boskiej jest cała. Kościoła nikt nie pali. Kościoły będziemy budowali.

Wziął głębszy oddech i dokończył:

— Do kancelarii włamali się źli, głupi ludzie. Został po nich znak swastyki i atrament rozlany na stłamszonych księgach. I ty — po raz pierwszy powiedział jej „ty", jak przy konfesjonale — mówisz, jakbyś była z nimi. Zastanów się, pomyśl.

Otworzyła usta, aby zajazgotać żałośliwie lub oskarżycielsko, lecz ksiądz Lubinia otwierając drzwi, głosem nagle zgrubiałym i surowym krzyknął:

— Milcz, kobieto!

Dlatego taka nadęta była przy podawaniu śniadania. Dlatego teraz tak trzaska garami. Ksiądz Lubinia spojrzał z dalekim uśmiechem w kierunku kuchni. Dopiero teraz poczuł na sobie spojrzenie wikarego. Musiał na niego patrzeć od dłuższej chwili, bo opuchłe powieki wysoko były uniesione.

— Czy księdzu coś jest? — zapytał.

— Nie, dlaczego? — ksiądz Lubinia próbował zbyć pytanie.

— Jajecznica zupełnie wystygła. Od kilku minut siedzi ksiądz jakby we śnie.

— E, nie. Tak, troszeczkę. Zaraz zjem.

Podniósł łyżkę do ust. Rzeczywiście, jajeczna papka skrzepła już i była całkiem zimna. Z niechęcią odsunął talerzyk. Wikary nie spuszczał z niego wzroku. Chciał mu jakoś na ten pytający wzrok odpowiedzieć.

— Nie mam apetytu. Zresztą — zimna. I bez soli — nie ma żadnego smaku. Trudno się przyzwyczaić.

A potem, ni w pięć ni w dziesięć, dodał:

— Trzeba zjeść beczkę soli...

Ale przerwał w połowie i spojrzał w oczy księdzu Józefowi. Ten jednak — jak zwykle — już je skrył za nalanymi obrzmieniem powiekami.

Mateusz Żurawiec

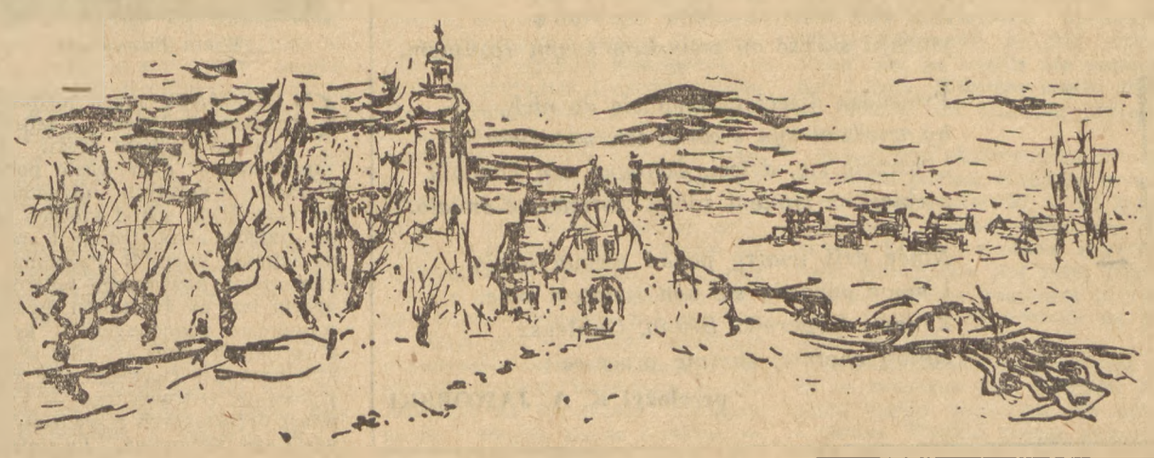

CHRZEŚCIJAŃSTWO A CYWILIZACJA

(Dokończenie ze str. 2)

ło, tak Imperium zaczyna się zarysowywać pod gradem tych „n i e".

Rzymski właściciel pozostaje na swym miejscu. Lecz oto pewni ludzie sprzedają swe dobra i osiągnięte sumy oddają na użytek ogólny. Nie ma wśród nich rozróżnienia: moje i twoje. Trwa to przez pewien tylko czas; gdy spostrzegają, że świat trwa nadal po zburzeniu Jerozolimy, każdy przejmuje znów swą własność. Cios bez żadnego skutku. Lecz wrótce podejmuje znów atak ubóstwo zakonne, potem zabierają głos prorocy: święty Bazyli, święty Jan Chryzostom rzucają gromy, później teologowie formułują zasady — zachowują zasadę osobistego dysponowania posiadanymi dobrami, lecz podminowują ją doktryną wspólnego użytkowania.

We wszystkich tych przykładach inspiracja chrześcijańska odegrała jednakową rolę: nie budowała, lecz przetwarzała to, co istniało. Tak jak owe produkty, które wypalają zielska nie wypalając wschodzącego zboża, chrystianizm wszedł głęboko w glebę, którą miał uprawiać, szukając tam korzeni, które należało zniszczyć i wypalając dziczki, gdy tymczasem prawda przeistaczała szczepy gatunkowe.

Kiedy zaś w miejsce tego jakby ujemnego przygotowania, duch chrześcijański wpływa bezpośrednio na proces cywilizacyjny, to zawsze pomiędzy jego punktem wyjścia a wytworami istnieje jakby linia ukośna, zawsze się wydaje, że osiąga on swoje doczesne wyniki jakby nadprogramowo, niekiedy niemal jakby przez niedopatrzenie. Teologowie zagłębiają się w otchłaniach pojęcia Trójcy Świętej, dwa stulecia namiętnie walczą za albo przeciw doktrynie o pochodzeniu lub perychorezie; z wiru soborów i herezji przenikają do historii, w wyniku przyjętej definicji Osób Boskich i ich wzajemnych stosunków, dwie zasady: personalistyczna, kładąca nacisk na osobę, i społecznościowa, kładąca nacisk na społeczność — które odtąd będą regulować zmienne losy społeczeństw. Całe pokolenia będą poświęcały swoją energię duchową dla podtrzymania twierdzenia, że w Słowie Wcielonym była pełnia natury ludzkiej i pełnia Wcielenia; dzięki temu cywilizacja europejska jedyna spośród wszystkich nie będzie szukała ucieczki od świata i połączy aktywność pracy ludzkiej z nienaruszonym zmysłem kontemplacji. Głosi się jedynego Boga, który nie pozwala na żaden podległy kult — jednocześnie, jak to wykazał Duchem, nauka wyzwala się od pierwiastka magicznego i staje się możliwa, zapewniona w ten sposób raz na zawsze, jedność świata dzięki jedności Boga. Wiara w Boga nieskończonego i wzywającego człowieka do ciągłego doskonalenia się toruje drogę cywilizacji nieskończenie czynnej i wciąż się rozwijającej, w przeciwieństwie do ciężkiej nieruchomości Islamu. Ów stosunek inspiracji chrześcijańskiej do praktycznych urzeczywistnień cywilizacji można by porównać do stosunku transcendentnych nauk matematycznych wobec wynalazków techniki. Badania matematyczne, na pozór najbardziej oderwane i w intencji badaczy najbardziej odległe od wszelkich zastosowań praktycznych, zrodziły ostatecznie, jak badania nad naturą fal czy budową atomu, najbardziej zdumiewające zastosowania praktyczne. Stało się tak dlatego, ponieważ badania matematyczne były prowadzone bardziej „od wewnątrz" niż projekty inżynierów i szukały w innych wymiarach niż wymiary mechaniki, tajemnic materii, które wyzwolone, olśniewały nieśmiałych swymi objawieniami. Tak samo chrystianizm wnosi więcej w najbardziej zewnętrzne dzieła ludzi, gdy wzrasta jego napięcie duchowe, niż gdy gubi się w taktyce i próbach dostosowania. Kierkegaard sądził, że chrystianizmowi jest dostępny jedynie pośredni sposób porozumiewania się. Można by powiedzieć, że jest mu dostępna jedynie pośrednia płodność. Dotykamy tutaj zasadniczej struktury historii bosko-ludzkiej, struktury nadającej pełnię znaczenia słowom Ewangelii: „Szukajcie Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta wam będzie przydana".

Emanuel Mounier

JERZY OLKIEWICZ

Malarstwo przyszłości

MALARSTWO ścienne jest probierzem architektury. Pojawienie się na ścianach budynku koloru i ornamentu oznacza zawsze proces dojrzewania. Dom przestaje być prymitywnym miejscem schronienia. Jego funkcja wykracza poza użyteczność. Dom staje się dziełem sztuki.

Naiwnie pomalowane chałupy plemienia Bantu w Południowym Transvaalu mogą stanowić równie dobry przykład tego korzystnego i koniecznego dla architektury współdziałania z plastyką, co pałac w Würzburgu z freskami Tiepola.

Malarstwo ścienne rozwija się i upada razem z architekturą. Każda wielka epoka w architekturze pozostawia równie wielką epokę w malarstwie ściennym. Ostatni wielki okres w historii budownictwa — barok był również końcowym etapem rozkwitu ściennego malarstwa. Po wielkich rozkrzyczanych kompozycjach, pełnych teatralnego patosu, nie starczyło już tchu na dalszą twórczość.

Przeobrażenia klasowe wysuwające na pierwszy plan burżuazję, decydująco wpłynęły na cały charakter sztuki. Świetny i pyszny barokowy pałac czy kościół z kopułą zapełnioną tłumem aniołów i alegorycznych postaci — to były monumentalne symbole społecznego życia. Nowa klasa rządząca miała odmienne symbole i innych bohaterów. Patetyczną postać dekorującą fasadę pałacu zastąpiono o wiele mniej dekoracyjnym, błyszczącym krążkiem złota. Punktem skupiającym życie przestał być pałac. Życie zawędrowało do worka bankiera i pończochy rejenta.

Wiek XIX to bardzo ciemna karta w historii architektury i okres całkowitego upadku malarstwa ściennego.

Nieznany dotąd w takiej skali masowy ruch budowlany pozostawił po sobie równie dotąd nieznaną olbrzymią kolekcję fałszywych, pompierskich monumentów, powierzchownie i bezmyślnie wzorowanych na przeszłości. Blichtr i świetność mieszczańskiej kamienicy były równie pozorne i fikcyjne, jak trwałość ówczesnego dobrobytu. Pretensjonalna fasada przeładowana gipsowymi ozdobami ukrywała bezsensowną amfiladę mrocznych pokoi i ciemną studnię podwórka.

Gorączkowa walka interesów nie mogła stworzyć nic na miarę greckiej agory, rzymskiego forum czy średniowiecznego rynku. Produkowała za to pseudo-monumentalne budowle z szybkością równą ówczesnej produkcji parowozów.

Oddzielone od architektury malarstwo zaprzątnięte było od połowy ubiegłego wieku przeobrażeniami, które w decydujący sposób zmieniły jego charakter. Impresjonizm rozjaśnił paletę i zwiększył wrażliwość na kolor. Post-impresjoniści i Cézanne wprowadzili do malarstwa statykę i umiejętność konstruowania obrazu formą i kolorem. Wśród tych wszystkich przeobrażeń malarstwo zamknęło się w ciasnym kręgu czysto autonomicznych problemów, które doprowadziły do niezliczonej ilości indywidualnych poszukiwań, jakie przeprowadzał każdy ambitny twórca na własną rękę. W chaosie najzupełniej nieraz sprzecznych głosów powstawała sztuka ciekawa i różnorodna, ale coraz częściej zaprzątnięta wyłącznie technicznymi, kuchennymi problemami.

Kameralność stała się nie tylko modą ale koniecznością. Manet na próżno starał się o pozwolenie dekorowania swoim malarstwem pawilonów Paryskiej Wystawy Międzynarodowej.

Treścią sztuki stały się drobne, ułamkowe sprawy, coraz bardziej oderwane od spółczesności.

Monumentalne malarstwo ścienne, które w historii zawsze dawało apoteozę aktualnych dążeń i ideałów, nie miało nic do roboty w okresie, kiedy jedynym heroizmem była kariera za wszelką cenę, a jedynym ideałem — konto bankowe i hipoteka.

Nic też dziwnego, że pierwsze udane próby współczesnego malarstwa ściennego powstały w oparciu o nową ideologię — w Meksyku po rewolucji z 1910 roku; a poszczególne zachodnie przykłady, jak Guernica czy Wojna i Pokój — Picassa mają najściślejszy związek ze współczesnymi wydarzeniami.

Problem malarstwa ściennego u nas czeka jeszcze na rozwiązanie.

W warunkach jak najbardziej sprzyjających współpracy plastyki z architekturą, sprzyjających powstawaniu monumentalnego malarstwa — rozwija się ono powoli; wielkim krokiem naprzód staje się odbudowa starych miast. Plastyka ma tu rolę zupełnie specyficzną. Przy jej pomocy mamy odtworzyć piękno i nastrój starych zabytkowych kamieniczek. Ten historyczny charakter dekoracji wyklucza więc w tym wypadku powstanie na wskroś współczesnego malarstwa ściennego, związanego ze współczesną architekturą. Jednak ogromny i pierwszy w tej skali nie tylko w Polsce fakt współpracy posiada decydujące znaczenie na przyszłość.

Miarą sukcesu jest zainteresowanie, z jakim tłumy widzów obserwują pracę przy dekoracji. Plastyka wyszła poza dość jeszcze zamknięty krąg wystaw, oglądają i zachwycają się nią tysiące ludzi, którym na myśl by nie przyszło odwiedzenie wystawy obrazów. Odbudowa Starego Rynku w Warszawie czy w Lublinie posiada — oprócz materialnej i artystycznej wartości — ogromne znaczenie społeczne. Rozbudza zainteresowanie dla plastyki, rozszerza jej zakres oddziaływania, zbliża do niej nowych entuzjastów.

Jest jednak pewna rzecz niepokojąca w tych zabytkowych dekoracjach. Przy dość dużej dowolności w operowaniu historycznymi formami grozi nam zalew pseudostylowości, bardzo kompromisowego wyjścia pomiędzy wierną interpretacją historycznego stylu, a współczesną odkrywczością. Grozi zalew tanich dekoracji robionych pod styl. Zwłaszcza, że przy odbudowie starych miast pracuje wielu młodych plastyków, którzy po raz pierwszy zetknęli się z malarstwem ściennym, na starych kamieniczkach będą się uczyć i zbrojni tym doświadczeniem zaczną praktykować przyswojony sobie styl muzealno-książkowy.

Nie posiadamy jeszcze malarstwa ściennego, które by podjęło współczesną tematykę, a współpraca plastyki z nie zabytkową architekturą z pewnością musi wyglądać inaczej niż w wypadku odbudowywanych starych miast. Czy malarstwo nie utonie w powodzi stylowych zawijasów? Na razie jego ornamentyka układa się w wielki znak zapytania.

Pierro della Francesca — fragment „Bitwy Maksencjusza".

Przy odbudowie starych kamieniczek działanie i powaga malarstwa ściennego są umniejszone do granic ornamentu, zdobiącego w ptaszki, kwiatki, czy amorki projektowane fasady. Zyskują przez to na wdzięku i charakterze. Czy jednak malarstwo w innych, bardziej współczesnych wypadkach współpracy z architekturą, powinno być spychane wyłącznie do roli przyjemnej, wdzięcznej dekoracyjki? Do roli przylepki pozbawionej własnego prawa głosu i śpiewającej jedynie w chórze kolumn, gzymsów i pilastrów?

Wszystkie problemy, cała walka ideologiczna zepchnięta jest na malarstwo sztalugowe. Malarstwo ścienne to wyperfumowana, utrefiona sztuka na „fajrant" — to rzemiosło dekoracyjne.

Nie mamy prawie w ogóle poważnych przykładów podjęcia współczesnej tematyki, a i te, które są, bywają zręcznie schowane. Z pewnością nie wszyscy zwiedzający MDM wiedzą, że w podcieniach bloków znajdują się mozaiki. Lepiej ich chyba nie można było schować. Nacieszyć się nimi mogą do woli tylko gołębie wijące sobie w pobliżu gniazdka.

Malarstwo ścienne nie jest jeszcze w pełni wykorzystane do wysokiej roli, jaką w historii doskonale spełniało — środka zmonumentalizowanej wypowiedzi. Przykład starych miast dowodzi, jak szerokie i bezpośrednie może być oddziaływanie tego na wskroś masowego gatunku sztuki.

Możliwości malarstwa ściennego są ogromne. Wielkie renesansowe i barokowe kompozycje figuralne, czy rewolucyjne malarstwo Orozca i Rivery są najlepszym tego przykładem. Współczesna nasza architektura, która nie rzadko zbyt rygorystycznie interpretuje klasyczne szablony, często możliwości te zawęża. Architekt boi się, że większa kompozycja figuralna rozsadzi mu ścianę czy elewację. Pozostawia malarzowi do zamalowania jakiś wycięty pośród pilastrów prostokąt tynku i działanie malarstwa ściennego ogranicza do roli obrazu sztalugowego, na stałe przywieszonego do ściany.

Brak jeszcze ciągle organicznego współdziałania malarstwa ze współczesną architekturą. Brak wnętrza albo elewacji współczesnego budynku, które byłyby projektowane od początku z aktywnym udziałem plastyka.

Malarstwo renesansu, mozaiki bizantyńskie — to dowód jak wielkie i niebanalne kompozycje można umieścić na ścianie nie burząc skali wnętrza i jak potężne może być oddziałanie takiego malarstwa.

Skończył się okres malarstwa intymnego — salonowego i buduarowego. Współczesny człowiek większość czasu spędza poza swoim mieszkaniem. Ściany świetlic, domów kultury, kin i teatrów czekają na monumentalną malarską dekorację.

Jak pisze francuski postępowy malarz Fernand Leger — malarstwo ścienne — to sztuka przyszłości.

Jerzy Olkiewicz

STEFAN SZCZYPACZOW

PIERWSZE KROKI

Nie znajdziesz tu odpowiedniego słowa.
Matka schyliła się z radością w oku,
bo po raz pierwszy synek jasnogłowy
bez jej pomocy zrobił kilka kroków.

Urośnie, skrzydła przypnie dwa do lotu
i naokoło świata w dal popędzi,
lecz pewno trasa ta łatwiejsza będzie,
niż tamtych pierwszych w życiu kilka kroków.

* * *

Miłości swojej przeglądając daty,
wzruszony spraw jej nieostygłych widz,
nie mogę pojąć, że kiedyś przed laty
o tobie, obcej, nie wiedziałem nic.

Gdziekolwiek ziemię będą deptać nogi
i jakikolwiek mi sądzony czas,
wciąż błogosławić będę owe drogi,
które krzyżując się złączyły nas.

* * *

Jest wieczna księga dróg miłości.
Gdy jedni tu
w niej kilka tylko stron poprzerzucali,
w zapamiętaniu inni ją czytali
skrapiając łzami każde z słów.

Pisano ją przez wiele, wiele lat
i my w niej może zostawimy ślad.
Miłości szczęsne wlokąc wciąż okowy,
poznawszy rozkosz a i mękę też,
szczęśliwy będę, gdy do księgi owej
przynajmniej jeden wpiszę wiersz.

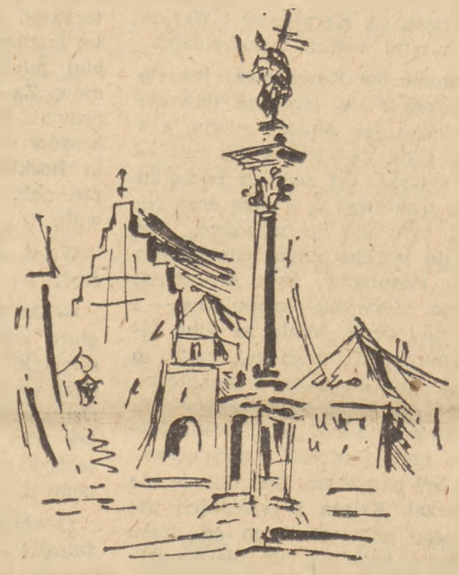

MAKSYM RYLSKI

W WARSZAWIE

Do ziemi pokłon ci, Warszawo,
dziś składam od Kijowa—brata.
Tyś ziemi kwiat, co kędzierzawo
rozrosnął się w ogrodzie świata.

Widziałem wczoraj twe zwaliska,
dzisiaj poznaję, nie poznając.
Tak śpiew słowiczych wiosen tryska,
zimowy mróz zwalczając w gaju.

Do wrót wolności twojej drogę
żołnierz radziecki z polskim mościł
i sztandar twój jest chwały godzien,
jak Stalingrad — nieśmiertelności.

Szumi dziś ziemia twa zielona,
naprawdę Rzecz już pospolita,
jakby Chopina brzmiał polonez,
jakby Kościuszki zew ją witał.

POMNIK KOPERNIKA W KRAKOWIE

W podwórcu starym uniwersytetu
niewielki pomnik ten się dzisiaj wznosi,
monument ten gwiaździarza i poety,
co w mroku wieków ogień prawdy głosił.

A krakowianie nim się bardzo szczycą,
bo jakżeż nie wpaść w zrozumiałą dumę,
gdy zazdrosnemu niebu tajemnicę
potrafił skraść on ziemskim swym rozumem.

Prowadzą dzieci tu i mówią do nich,
by wiedział syn i córka ich wiedziała:
„Patrzcie się, dzieci, skromny ten kanonik
niebieskim tronem zdołał wstrząsnąć śmiało."

Nowe dziś wiatry ponad ziemią wieją
i nowe gwiazdy się nad światem palą.
Z nami Kopernik, Bruno, Galileusz
zyliby chętnie, chętnie pracowali.

przełożył K. A. JAWORSKI

STEFAN HEINE

CZARODZIEJKA SCENY

Wiera Paszennaja

GOSZCZĄCY przed niedawnym czasem w Polsce — Moskiewski Akademicki Teatr Mały zaprezentował nam wcale pokaźną hierachię wybitnych indywidualności aktorskich, wśród których miejsce najgórniejsze, jedyne i specjalne zajmuje Wiera N. Paszenna. Argumentacja powyższego twierdzenia oparta jest na świetności dwóch — biegunowo odmiennych — kreacji, stworzonych przez artystkę w wielkim dramacie Gorkiego i w jednej z komedii Ostrowskiego — kreacji wręcz urzekających czarodziejstwem wielkiego aktorstwa, uwalniającego widza całkowicie z poczucia fikcji, rozgrywanych na scenie wypadków.

Główny potencjał najwyższych — w tym wypadku — możliwości aktorskich skoncentrowany został w przyrodzonych wartościach ogromnego talentu, doprowadzonych przez czas, pracę i doświadczenie do wyżyn prawdziwej maestrii. Głębie niezmąconego niczym skupienia, umożliwiające artystce pogrążenie się zupełne w psychice odtwarzanej postaci, a nade wszystko — wzrastająca z każdą chwilą rozwoju akcji — siła nieodpartej sugestywności aktorskiej, narzucająca widzowi pokorną akceptację wszystkiego, cokolwiek artystka na scenie mówi lub czyni — oto najwyższe walory talentu Paszennej, dające odtwarzanej przez nią osobie dramatu wszystkie i najbardziej zwodnicze pozory życiowej prawdy.

Wiera Paszenna — przestępując próg sceny — zatraca całkowicie cechy własnej osobowości. Pełny system nerwowy, myślowość, gest, ruchy ciała, każde spojrzenie — zaangażowane zostają od tej chwili tylko w przybranej na scenie postaci. Zespolenie z rolą jest u artystki zadziwiająco szczelne. Żadna myśl obca zdaje się nie mącić wielkiej artystce nastroju twórczej ekstazy. Nawet na nieprzewidziane przeszkody sceniczne mogące łatwo wyniknąć w najstaranniej przygotowanym przedstawieniu, artystka zareaguje nie sobą, lecz odruchem tworzonej przez siebie postaci. Charakterystyczność tego zjawiska afirmuje pewien wiele mowiący epizod z przedstawienia „Wassy Żeleznowej". Lawina żywiołowych oklasków zasypała ukazującą się na scenie artystkę. Paszenna przerwała pierwszą „kwestię" roli, a twarz jej drgnęła lekkim objawem chwilowego zniecierpliwienia. Nie był to jednak w żadnym razie osobisty odruch artystki. Była to reakcja Wassy na nieprzewidzianą wrzawę, niszczącą ciszę jej domowego popołudnia, zarezerwowanego dla załatwienia ważnych porachunków rodzinnych.

Głęboki urok świetności aktorskiej nie jest w przypadku Paszennej promienną emanacją walorów tylko wrodzonego talentu. Artystka dysponuje jeszcze bogatym arsenałem najważniejszych elementów techniki aktorskiej, zdobytych latami uciążliwej pracy, znaczonej wysiłkiem ustawicznego poszukiwania coraz wspanialszych środków aktorskiego wyrazu, — pełnej znoju przeróżnych walk i doświadczeń — nie zawsze przecież zwycięskich. Głos posłuszny najdrobniejszym fluktuacjom uczucia, klarowna przejrzystość wyćwiczonej i pielęgnowanej dykcji, giętkość mięśni twarzowych i ciała, opanowanie gestu, będącego u Paszennej szczególnie ważnym środkiem oddziaływania — osiągnięte zostały niewątpliwie posłusznym przystosowaniem charakteru i woli do twardych zadań aktorskiej profesji, a także głęboką pokorą artystyczną, nie wsty-

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

ZAPOMNIANA POWIEŚĆ O POWOŁANIU ARTYSTY

Jeśli się mówi o cechach tradycji literackiej odzywających się w naszej literaturze współczesnej, to powiedzenie to dotyczy w dużej mierze neoromantyzmu. Młoda Polska jako szkoła literacka, dość — łagodnie mówiąc — odległa w swym światopoglądzie artystycznym od realizmu, a częstokroć — jeśli chodzi o skrajnych symbolistów polskich — wręcz jemu przeciwna, kształtowała jednak rzemiosło literackie wielu pisarzy międzywojennych i współczesnych. Nic więc dziwnego, że szczególnie młodopolszczyzna języka i stylu jest zjawiskiem do dziś dnia wytykanym pisarzom i wyplenianym przez krytykę literacką jako objaw, który może — choć nie musi — stać się symptomem antyrealistycznego schorzenia ideowo-artystycznego.

Niebezpieczeństwo młodopolszczyzny — w całym ujemnym, patologicznym znaczeniu tego terminu — przypominają i aktualizują niejako „Listy człowieka szalonego" Andrzeja Niemojewskiego *), których reedycję podjęło niedawno ruchliwe Wydawnictwo Literackie. Reedycja ta jest zresztą jednym więcej przyczynkiem do ożywiającej się ostatnio działalności wydawców i badaczy literatury mającej na celu wskrzeszenie z mroków niepamięci postaci i twórczości zapomnianego pisarza. Niemojewski bezsprzecznie zasługuje na to — mimo wszelkich zarzutów merytorycznych, jakie można mu postawić, zwłaszcza ze stanowiska światopoglądu katolickiego — jako nieprzeciętna indywidualność literacka i publicystyczna.

„Listy człowieka szalonego" należą do wczesnych utworów Niemojewskiego, powstały bowiem w roku 1899. Były one debiutem powieściowym pisarza, wcześniej Niemojewski znany był wyłącznie jako poeta. Powieść jego została nieledwie przemilczana przez krytykę literacką, a jedynie dwie recenzję (o których wspomina w posłowiu do obecnego wydania „Listów" Tomasz Weiss) nie odniosły się do niej przychylnie.

Przyczynę tak generalnie negatywnego stanowiska krytyki literackiej znaleźć nie trudno — tkwi ona bez reszty w problematyce „Listów człowieka szalonego". W powieści swojej rozważa Niemojewski zagadnienie istotne dla artystów wszystkich czasów: sprawę odpowiedzialności za własną twórczość wobec społeczeństwa. „Listy" są polemiką z bojowym hasłem polskich i obcych modernistów „Sztuka dla sztuki"! W polemice z tym sloganem, którego zwolenników, podobnie jak i akcję całego utworu umiejscawia pisarz w środowisku malarskim — nawiązuje autor „Listów" do haseł pozytywizmu polskiego.

Na kartach „Listów człowieka szalonego" możemy dostrzec niezbyt często spotykane w literaturze przełomu wieku XIX, ale tym bardziej wartościowe zjawisko: symbiozę problematyki ideowej z etyczną. Niemojewski nie tylko dyskwalifikuje filozoficzne i estetyczne stanowisko Młodej Polski: na przykładzie modelki Bronki i stosunku do niej malarzy pokazuje, jak antyhumanistyczny światopogląd łączy się u dekadentów z taką samą etyką, a raczej brakiem etyki w życiu. Miejsca książki poświęcone temu problemowi i jego artystycznej egzemplifikacji są bezsprzecznie najbardziej przekonywające merytorycznie i literacko.

Ideowe wartości omawianej powieści Niemojewskiego nie powinny nam jednak przesłaniać jej braków artystycznych. Nie tylko bowiem w problematyce, lecz także w technice pisarskiej, w kształcie artystycznym utworu następuje tutaj konflikt pozytywizmu z młodopolszczyzną, realizmu z arealizmem — a niekiedy nawet antyrealizmem.

Trzeba powiedzieć, że prawie wszystkie cechy, które czynią z omawianej książki anachronizm artystyczny, szacowny zabytek historyczno - literacki — zawdzięcza ona realistycznym tendencjom Młodej Polski. Stąd „Listy człowieka szalonego" stanowią ciekawy przykład zjawiska, jak łatwo można ulec w praktyce prądowi artystycznemu, przeciwko któremu walczy się w teorii.

Przede wszystkim istnieje w powieści Niemojewskiego symbolizm treści. Już tutaj Niemojewski jest w zaczątkach tym, czym na dobre stać się miał później: namiętnym i rasowym publicystą. „Listy" — jak to słusznie zauważa Weiss — są wykładem poglądów estetycznych ich autora, ale wykładem niejasnym, mało popularnym i komunikatywnym, bo przybranym w szatę mało celowego artystycznie symbolu. Symbol i alegoria panują wszechwładnie w pokaźnych partiach powieści Niemojewskiego, będąc haraczem spłacanym przez niego na rzecz współczesnej mu epoki.

Że nie wychodzi to na dobre „Listom" jako utworowi literackiemu — świadczy głównie kompozycja i styl utworu. Kompozycyjnie „Listy człowieka szalonego" niezbyt wiele mają wspólnego z racjonalnie zbudowaną powieścią. Ich kształt literacki jest bardzo amorficzny — wypowiedzi odautorskie pokryte maską oklepanego chwytu literackiego, jakim jest List-pamiętnik zlepione są ułamkami akcji fabularnej. Niemojewski nie nawiązał tutaj niestety do osiemnastowiecznej powieści listowej, której klasycznym wzorem może być chociażby utwór Laclose'a. Sama anegdota „Listów człowieka szalonego" sprawia wrażenie elementu luźno związanego z partiami publicystycznymi książki.

A szkoda! O wartości Niemojewskiego — powieściopisarza świadczą bowiem właśnie owe dzieje modelki Bronki o dobrze zadzierzgniętym węźle tragedii ludzkiej. Żałować należy, że Niemojewski nie rozbudował tego wątku, nie uczynił go swoim *porte parole* zamiast dość papierowej i mgławicowej postaci Rymkowskiego. W postaciach książki poświęconej temu wątkowi, ściśle mówiąc jedynemu wątkowi akcji, dochodzi przecież do głosu — obok tragizmu — także ton satyry i groteski o dużej sugestywności. Ten ton właśnie — a nie symbolizm — zaświadczy później o wartości Niemojewskiego jako publicysty.

Obok treści i kompozycji symbolizm oddziałał w „Listach człowieka szalonego" również na język Niemojewskiego. I tu również partie utworu należące do — nie najlepszej zresztą — prozy poetyckiej jaskrawo odbijają od żywego, potoczystego, jędrnego stylu fragmentów realistycznych. Język „Listów" przypomina w części powieści Prusa i Orzeszkowej, w części zaś — Przybyszewskiego i jego artykuły w „Życiu"; i stąd pochodzi odczucie dysonansu narracji.

Biorąc to wszystko pod uwagę nie będzie chyba mylny osąd, że „Listy człowieka szalonego" Niemojewskiego posiadają przede wszystkim znaczenie jako dokument literacki, jako dowód przeciwdziałania wypływającego z najbardziej postępowych i etycznych pobudek wobec antyhumanistycznych i antyrealistycznych elementów idei młodopolskich. Taka wartość dokumentalna kompensuje niewątpliwie braki artystyczne omawianej powieści, co więcej — stanowi o jej aktualności także i dziś. Sądzę bowiem, że dla każdego odpowiedzialnego za swą sztukę pisarza i artysty lektura „Listów" będzie pewnego rodzaju rachunkiem sumienia wobec własnego powołania twórczego.

Zbigniew Pędziński

*) Andrzej Niemojewski: Listy człowieka szalonego, Kraków, 1954. Wydawnictwo Literackie, str. 210, 1 nlb.

ALINA ŚWIDERSKA

LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

Do poważnego i bardzo gruntownego artykułu St. J. Bojanowskiego „Narodziny i zmierzch legendy" w n-rze 38 „Dziś i Jutro" ośmielam się dodać jedną małą uwagę, która jednak chciałabym, żeby nie była pominięta.

Autor powiada, że całe pokolenia polskie kształtowały swój stosunek do Złotego Wieku na „bałamutnych baśniach" wynikających z prac wielu dawniejszych historyków. Nie przeczę temu w zasadzie, ale pozwalam sobie przypomnieć, że już blisko sto lat temu prawdę o Barbarze Radziwiłłównie napisał... Szajnocha. (Przypominam sobie przy tej okazji, jak moja 16-letnia uczennica, której poleciłam przeczytać odnośny Szkic Szajnochy, powiedziała mi potem ze skrzywieniem: *Ech, jakaż ona była, ta Barbara: Ciągle tylko, dopomina się o tę koronację...*).

Film, o którym autor wspomina, prześlepiłam jakoś, ani go nie widziałam, ani o nim nie słyszałam, ale pomimo wszystkich niedostatków dwudziestolecia sądzę, że tego... przepraszam ...idiotycznego scenariusza nie można uważać za typowy dla danego okresu.

Co do samej legendy zaś autor przyznaje, że stanowiła ona wymarzoną wprost fabułę dla pisarzy i poetów. Nic w tym zresztą nowego. Od niepamiętnych czasów — nie wiem jak tam było z Nalem i Damajanti, ale już zaczynając od bohaterów homeryckich — literatura idealizowała i wyolbrzymiała niektóre postacie i na to już nie ma rady. (Przepiękna scena z fragmentu Wyspiańskiego ...módlcie się królu Auguście...), obrazy i szkice Matejki pozostaną zawsze i nic nie zaćmi ich uroku, cokolwiekby o tym powiedziała historia.

Tu zaś natknęłam się na to, co przez szereg lat było dla mnie przedmiotem długich i czasem nawet bolesnych refleksji.

Życie uczy nas poddawać rewizji wszystko to, co uczono nas czcić za młodu. Niektóre rzeczy temu się w ogóle nie ostają, większość zaś przedstawia się zgoła w innym świetle. Pozostają jednak te wartości emocjonalne, które skojarzyły się z owym przedmiotem. Dana postać czy dana epoka pozostaje dla nas droga i bliska. Widzimy cienie i plamy, których żeśmy przed tym nie widzieli, ale to nie umniejsza przywiązania. Nie umniejsza nawet kultu, o ile w danym przedmiocie jest wielkość istotna, która mimo wszystko na kult zasługuje. Powiedziałabym nawet, że te uczucia stają się silniejsze przez to, że pokonały wszystko co je osłabiało. Miłość połączona z krytycyzmem jest zawsze głębsza niż miłość bezkrytyczna.

Nie chcę, żeby mnie zrozumiano fałszywie. Nie jestem bynajmniej zwolenniczką zakłamania choćby w najlepszej intencji. Ale zakłamanie samo przez się upadnie. Nikt dziś nie jest już wielbicielem Makryny Mieczysławskiej mimo, że uwiecznili ją w poezji Słowacki i Wyspiański. I Barbary dzisiaj nikt już nie wielbi, widzimy ją tylko poprzez pryzmat miłości Zygmunta Augusta.

I tutaj z pewnym wahaniem, bo nie wiem czy właściwe są takie zwierzenia osobiste, decyduję się jednak przytoczyć jedno wspomnienie.

W czasie pierwszej wojny światowej w r. 1916-17 znalazłam się w Kijowie. Był to właśnie okres rewolucji rosyjskiej, obalenia władzy carskiej, otwarcia tam szkoły polskiej. W ciągu lata urządzono dla młodzieży przechodzącej do tej szkoły z gimnazjów rosyjskich kursy literatury polskiej i historii polskiej. Historii uczył jeden z profesorów przybyłych ze Lwowa, a literatury ja. Tak się jednak złożyło, że historyk zachorował i przez parę lekcji ja musiałam go zastąpić. Wypadła właśnie epoka Jagiellonów. Nie umiem powiedzieć, co to za radość była dla mnie. Z ręką na sercu mogę przysiąc, że nie szerzyłam żadnego obskurantyzmu i żadnych poglądów zacofanych. Z natury rzeczy zresztą mogłam się tylko ograniczyć do podawania faktów ogólnie znanych. Ale samo wymienianie tych faktów, samo wypisywanie kredą na tablicy genealogii Jagiellonów było już dla mnie rozkoszą. Miałam takie, niewyrozumowane zupełnie uczucie, jak gdybym opowiadała dzieje własnej rodziny. I to uczucie udzielało się słuchaczom. Nie wiem, czy ktokolwiek z nich — o ile żyją — jeszcze to pamięta, ale ja owo poczucie serdecznej łączności dotąd mam żywo w pamięci i pewna jestem, że jeśli nawet zapomnieli, to pozostał im w duszy pewien osad, niby jakaś pozłota, która się na coś przydała. I w tym rzecz właśnie. Gdyby mnie tego nie wpojono, nie mogłabym wpajać innym. To są zaś owe imponderabilia — mówię to z głębokim przekonaniem i z głębokiego doświadczenia, które nadają istotny sens życiu.

Odeszłam bardzo daleko od tej „małej wagi", którą zapowiedziałam na wstępie, ale tak mnie jakoś niespodzianie poniosło. Przepraszam za to Redakcję i Czytelników.

Alina Świderska

LISTY DO REDAKCJI ● LISTY DO REDAKCJI

To nie Balzac — to ja

W związku z artykułem Tadeusza Bielickiego pt. „Kto zabił Ritę Croy?" — otrzymaliśmy — za pośrednictwem jednego z naszych czytelników — list, który poniżej zamieszczamy wraz z odpowiedzią autora artykułu.

Gdzieś w zaświatach 13.IX.1954.

Do Redakcji „Dziś i Jutro"

Gentlemen!

Niech mi będzie wolno zabrać głos w pewnej sprawie związanej z artykułem pt. „Kto zabił Ritę Croy?", zamieszczonym w Nr 37 (459) tygodnika Panów z dnia 12.9. 1954 r. Sprawa ta, to — używając słów autora artykułu — „największa z tajemnic Balzaka".

Otóż mam zaszczyt zapewnić Panów, że wbrew temu, co drukujecie, największą tajemnicą Monsieur Balzaca „było to, że powieści pt. „Tajemnica Edwina Drooda" nigdy nie skończył dlatego, że nigdy jej nie zaczął pisać, nie zaś dlatego, iż pisanie jej przerwała mu rzekomo śmierć. Z tej samej przyczyny M. Balzac nie zabrał ze sobą do grobu tajemnicy rozwiązania tej zaledwie zaczętej, bo liczącej sześć rozdziałów, powieści.

Autorem natomiast niedokończonej „Tajemnicy Edwina Drooda" jestem j a. Protestując więc uprzejmie przeciw przypisywaniu moich powieści M. Balzacowi(?) pozostaję wraz z m o j ą największą tajemnicą

szczerze oddany

CHARLES DICKENS

Sorry...

W Warszawie, 18 września 1954.

Do Zarządu Zaświatów
DPWSS (Departamentu Pisarzy
w Stanie Spoczynku)
Dear Mr Dickens:

Pańska depesza z zaświatów wywarła na zespole redakcyjnym — a na mnie w szczególności — wrażenie wstrząsające. Afront, jaki miałem czelność wyrządzić Panu, okradając Pana z Jego własnej twórczości, jest doprawdy tęgiego kalibru i rozumiem, że może on wyprowadzić z równowagi nawet Anglika, i nawet nieboszczyka. Toteż nie dziwię się wcale, że, z wielkiej irytacji, pofatygował się Pan odezwać aż z tak daleka. Przypuszczam, że zareagowałbym tak samo — gdybym był na Pana miejscu (aczkolwiek — wybaczy Pan szczerość — czerpię niemałe zadowolenie z faktu, że na nim jeszcze nie jestem).

Co się tyczy sprawy owego nieszczęsnego Edwina Drood — to winien tu jestem istotnie haniebnej pomyłki i nie mam na swoje usprawiedliwienie nic. Popełniłem bowiem grzech, którego nie wybacza się żadnemu publicyście: pozwoliłem sobie oprzeć się w tym szczególe na — bałamutnej, jak się okazało — i n f o r m a c j i u s t n e j, nie zadając sobie trudu sprawdzenia jej przez sięgnięcie do źródeł. Errare non permissum est. Gniew człowieka tej miary co Pan już sam przez się stanowi dla mnie dostateczną karę. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak bić się w piersi — i to tak głośno, aby bicie to usłyszano nawet w zaświatach. Łączę wyrazy uwielbienia

yours very truly
TADEUSZ BIELICKI
author of the article
„Kto zabił Ritę Croy?"

P. S. Sekretarz Redakcji nawymyślał mi wprawdzie zdrowo za tego „Balzaka" — podejrzewam go jednak o to, iż czuł się — mimo wszystko — mile połechtany wieścią, że pismo nasze czytywane jest nawet na tamtym świecie.

Muszę stanowczo zaprotestować...

Szanowny Panie Redaktorze!

W odniesieniu do artykułu pt. „Dramat świętości" w ostatnim (38) n-rze „Dziś i Jutro", omawiającego moją recenzję powieści Dobraczyńskiego muszę przede wszystkim zaznaczyć, że ja memu artykułowi w „Tygodniku Powszechnym" dałam tytuł: „Epos tatrzańsko-katolicki" i tylko na życzenie Redakcji zgodziłam się dla świętego spokoju zmienić tytuł, czego teraz bardzo żałuję, bo dopiero obecnie widzę, że to zasadniczo zmienia jego znaczenie. — Następnie zaś muszę stanowczo zaprotestować przeciw użyciu w stosunku do mojej recenzji słowa „reklama". Nikomu nigdy nie robiłam i nie robię reklamy (i nikt mnie jej nie robi), ani też nie dmę w żaden „puzon". Po prostu napisałam swoje zdanie, do czego mam prawo, a muszę dodać, że to zdanie nie jest odosobnione, bo i od innych słyszałam w rozmowie o tej powieści słowo: arcydzieło.

Liczę na życzliwość Redakcji, z którą łączą mnie już kilkuletnie stosunki, i proszę jak umiem najuprzejmiej, żeby Panowie zechcieli tych moich parę słów pomieścić. Nie odmówią mi Panowie, prawda?

Z poważaniem
Alina Świderska

dzącą się czerpać świetnych wzorów z dawnych tradycji aktorskiego mistrzostwa. Całkowite umiłowanie teatru i sztuki — wyczuwalne tak często u Paszennej — i umiejętność wreszcie wymiany osobistych przeżyć na środki aktorskiego wyrazu — stanowić musiały niezbędny ekwipunek artystki w dłuższej wędrówce ku szczytom kunsztu.

Wyrazistość i wymowa gestu doprowadzone zostały przez Paszenną do rzadkiej perfekcji. Ręce artystki mówią częstokroć więcej o scenicznej postaci niż obszerna tyrada. Zamaszysty, pełen zdecydowania gest, którym Wassa Żeleznowa w pierwszej scenie dramatu skreśla jakąś pozycję w raporcie swego urzędnika, uświadamia nas od razu, że wola tej statecznej, czarno ubranej pani nie znosi najmniejszych nawet objawów sprzeciwu. Wycyzelowane, ostrożne i jakby odmierzone gesty, towarzyszące Wassie przy mieszaniu zawartości tajemniczego pudełka, a następnie — gdy czynność tę przerywa wesoły głos jednej z jej córek — szereg nerwowych ruchów pośpiesznego zasuwania szuflad ciężkiego biurka — udowadniają jasno, co zawiera w sobie zagadkowy, pośpiesznie ukrywany przedmiot.

Wewnętrzne przeżycia bohaterki dramatu — zaszyfrowane milczeniem scenicznej pauzy — stosowanej przez artystkę zawsze celowo i wygranej z precyzyjną dokładnością — otwierają przed Paszenną dalsze i szerokie możliwości aktorskiego — w wielkim stylu — popisu. Wassa, okrążająca w grobowym milczeniu swój gabinet po wyjściu z sypialni otrutego przez siebie męża, jest pełnym przejmującej grozy obrazem dramatycznych zmagań, staczanych w mrokach obciążonego zbrodnią sumienia. I krótka, telefoniczna rozmowa z lekarzem, któremu Wassa komunikuje o śmiertelnym „ataku serca" kapitana Żeleznowa, zawiera w treści swego wewnętrznego podłoża ponurą tych zmagań kontynuację. „Sześć pięćdziesiąt trzy" — rzuca Wassa z powolną ostrożnością do telefonicznej słuchawki. Zwykły numer, będący z pozoru mało ważnym szczegółem w ogromnej, naładowanej trudnościami roli — artystka podbudowuje wewnętrznym nurtem najburzliwszych uczuć, wyczuwalnych w głosie, załamywanym wibracją silnego wzruszenia i w ciężkim, powolnym ruchu ręki odkładającej później słuchawkę.

Artystka okazała się również nielada wirtuozem w grze dalekich kontrastów, będącej pewnym sposobem stosowania specjalnych zabarwień tonalnych, całkowicie sprzecznych z treścią wypowiadanego w danej chwili tekstu. Najczulsze tony matczynej prawie perswazji maskują okrucieństwo proponowanego jawnie Żeleznowowi samobójstwa. Odcień lirycznego niemal rozrzewnienia, wyczuwalny w tej chwili w głosie artystki, kontrastuje jaskrawo z sensem danego fragmentu roli. Synchronizuje się natomiast ściśle z jego wewnętrzną podbudową. Akcenty groźby lub gniewu artystka przerzuca niekiedy w ten sam sposób na partie tekstu o kolidującej z tonacją głosu treści.

Niezapomniany pokaz pełnej świetności swojego aktorstwa dała nam Wiera Paszenna w wielkiej scenie samotnego pasowania się Wassy z nadchodzącą nieoczekiwanie śmiercią. Artystka, ukazując dramatyczne starcie swojej bohaterki z niewidzialnym przeciwnikiem, zmobilizowała zda się wszystkie walory talentu i aktorskiej techniki. Wywołała tym efekt oszałamiający. Czar aktorskiego geniuszu rozwiał doszczętnie wrażenie teatralności wypadków. Widz znalazł się nagle w samym wnętrzu mieszkania Żeleznowych, gdzie silna i nieznająca lęku kobieta stacza swój ostatni bój z nieubłaganym widmem śmierci. Napięcie nieugiętej dotąd nigdy woli pozwala jej — na chwilę jeszcze — opanować dramatyczną dla siebie sytuację. Wznosi się wreszcie z fotelu — stoi — oblicza jak gdyby rezerwę pozostałych sił, po czym dumnym i pewnym krokiem dawnej Wassy usiłuje przejść na drugą stronę pokoju. Lecz nowy cios, wymierzony jej w tej chwili przez niewidzialnego przeciwnika, zachwiał całym jej ciałem. Wassa, chwytając się sprzętów, próbuje rozpaczliwym wysiłkiem raz jeszcze postawić mu opór. Czyni ponownie — tym razem jeden już tylko — zdecydowany, silny krok, zakończony nową próbą powalenia jej przez wroga. Nie pada jednak. Wyprostowuje zgiętą postać, kurczowo ciągle chwytając się mebli. I nagle w jej szeroko rozwartych oczach pojawia się wyraz bezgranicznego zdumienia. Ujrzała zda się inny zgoła świat, a może tylko grozę i bezsens całego swojego życia... Jeszcze jeden gwałtowny ruch rozrywania sukni pod szyją i Wassa klnąc pada twarzą w poduszki staroświeckiej kanapy. Zwisająca bezwładnie ręka zadrga jeszcze po kilku sekundach przerażającej ciszy jakimś bolesnym, kurczowym, ostatnim ruchem.

Sugestywność aktorska Paszennej osiągnęła w tej scenie nasilenie szczytowe. Magiczne jej działanie trwało już do końca dramatu. Gdy jedna bowiem z działających w sztuce postaci ujmuje w pewnej chwili martwą już rękę Wassy, a następnie — postępując zgodnie z charakterem swej roli — bezceremonialnie ją odrzuca — ręka, uderzając o krawędź kanapy, wywołuje głuchy, przejmujący huk. Moment ten dostarczył zasugerowanemu do głębi widzowi niecodziennej w teatrze, fizycznej emocji. Wrażenie bowiem osobistego dotknięcia martwego — ponad wszelką w tej chwili wątpliwość — chłodu opadłej ręki było wręcz niesamowite.

Wiera Paszenna wzbudziła w nas niezatarte jeszcze wspomnienie talentu Wandy Siemaszkowej. Podobieństwo nasuwa tu przede wszystkim e m p l o i grywanych ról, wspólne dla obu artystek i pewne, zbieżne istotnie, cechy aktorstwa. Różnice poza tym są dość zasadnicze. Siemaszkowa porywała zawieruchą ogromnego talentu. W gwałtownych, pełnych temperamentu wybuchach aktorskiej swej pasji, potrafiła zachwycić mistrzostwem szczegółów i niezwykłą rzeczywiście siłą dramatycznego wyrazu. Żar wewnętrzny jednak — zależny w głównej mierze od stanu właściwości psychicznych i stopnia ich wrażliwości na wpływy zewnętrzne — niekiedy przygasał. I wtedy mistrzostwo Siemaszkowej nie jaśniało najpełniejszym blaskiem. Paszenna natomiast — to nie tylko buchająca ogniem żagiew rozpalonego talentu. Sztuka aktorska oparta jest tutaj na podwalinach pełnej, artystycznej świadomości i niezwykle drobiazgowych studiów. Artystka pracuje nad rolą niewątpliwie długo i bardzo wytrwale. Nie zawierza — zdaje się — niczego wyłącznie sugestywnej sile swego talentu. Odtwarza przede wszystkim — nie szczędząc na to mozołu trudnych analiz i długich nieraz dociekań — pełną partycję myśli i uczuć swoich postaci, stanowiącą główny — nie do ominięcia — fundament roli. Stąd pełne pokrycie wewnętrzne wypowiadanego później tekstu.

Paszenna wzbogacona jest ponadto darem bystrej obserwacji i bogatą znajomością psychologicznych zagadnień. Jakiś niezmiernie wysublimowany zmysł rozpoznawczy wiedzie ją nieomylnie przez głębokie zapadnie zbrodniczej duszy i przez myślowe mieliny „wdowy po asesorze kolegialnym" — z „Intratnej posady" Ostrowskiego.

Rozległy zasięg artystycznej wyobraźni umożliwia również artystce widzenie odtwarzanej postaci nietylko w sytuacjach scenicznych, wyznaczonych jej przez autora, lecz także we wszystkich, możliwych dla niej okolicznościach pozateatralnego życia. Artystka każe nam tym samym podziwiać pełną paletę barw ludzkiego charakteru, operując mistrzowsko mocnymi kolorami wielkich namiętności i subtelnym odcieniem wielu psychologicznych szczegółów. Uwalnia to kreacje artystki z wszelkiego schematyzmu stronniczych uproszczeń. Wassa Żeleznowa ze swą „czarną duszą" ani na chwilę nie przestaje być ludzka. Wzbudza często głęboką odrazę, ale wzbudza także — współczucie.

Szlachetny obiektywizm w stosunku do postaci świadczy o wielkiej kulturze artystki, o jej takcie i poczuciu pewnej scenicznej dyskrecji. Realizm środków artystycznych pozbawiony jest tutaj jakichkolwiek nalotów brukowej trywialności, lansowanej niekiedy na naszych scenach.

Sztuka aktorska — jak żadna inna — związana jest najściślej węzłami języka, wspólnego dla widza i aktora. Wielkie potęgi aktorskie oddziaływały jednak mimo zapory obcojęzycznych trudności. Włoski tragik Rossi, a także genialny Aleksander Moissi grywali przecież ongiś, używając swego ojczystego języka, w e n s e m b l e, u polskich aktorów. Należałoby więc co rychlej wskrzesić w naszych teatrach tę zagubioną tradycję również dla Wiery Paszennej, prawdziwej czarodziejki sceny, zasłużonej, wielkiej artystki, godnej tych wszystkich zaszczytów i tytułów, którymi obdarza ją własna ojczyzna.

Bo wielki artysta to nie tylko — wielki talent. To także suma jego ludzkich wartości, rozległej wiedzy o życiu i zalet pogłębianego ustawicznie intelektu. To także trud ogromny wielu najcięższych nieraz wyrzeczeń. To wykwint jeszcze duchowej kultury i służba odwiecznym ideałom dobra, prawdy, i piękna na każdym odcinku życia. I tylko taki artysta może nam przekazać prawdę o człowieku. Wiera N. Paszenna przekazuje nam ją właśnie nieuszczuploną — w pełni godnej najwyższego podziwu.

Stefan Heine

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W wa, Marszałkowska 3/5. Zam. nr 2224. 5-B-150112

JANUSZ KOZŁOWSKI

rys. GABRIEL RECHOWICZ

Z notatnika akompaniatora

DIESLE mruczały monotonnie. Horyzont coraz bardziej rozkołysany uciekał pod bure niebo, by za chwilę zniknąć za burtą. Chwiejba nie była znów tak wielka, ale w połączeniu z wdłym zapachem spalin zaczynała robić wrażenie na dzieciach. Pierwsze pobladły Koreanki, choć — jak zawsze — ani słowem nie dały znać o swoim samopoczuciu. Kładliśmy kolejno na koje. Potem zachorowało kilka polskich dziewcząt. Marynarze chodzili zatroskani. Przecież dopiero pół godziny temu wypłynęliśmy z dziwnowskiego portu na pełne morze a już takie skutki. Bosman zwierzał mi się szeptem ze stanu barometru, który w żadnym wypadku nie mógł nastrajać optymistycznie. Czekała nas perspektywa wzmożonego huśtania, wcale więc nie we-

soła, szczególniej biorąc pod uwagę stan prawie połowy zespołu. Możliwość występu w Świnoujściu zmalała do minimum, a przecież był on właściwym celem naszej podróży. Przejażdżka po morzu to tylko dodatkowa przyjemność. I przy tym pocieszająca wiadomość, że mamy płynąć co najmniej cztery i pół godziny.

Przed wyruszeniem rozdano wszystkim pasy ratunkowe. Dziewczętom miny się wydłużyły.

— Oj, a po co?

— W razie gdybyśmy zaczęli tonąć — objaśnił poważnie bosman. Naturalnie przydatne są tylko dla tych, którzy umieją pływać — dodał na pocieszenie.

Ponieważ deszcz nie ustawał wpuszczono nas pod dach. Były tam marynarskie koje, kuchenka i maleńka świetliczka. Wyprostowany dotykałem głową sufitu. Maluchy natychmiast okupowały koje, panosząc się na nich niepodzielnie. Potężnie zbudowany mat usiadł wśród nich i zaczął opowiadać różne prawdopodobne i mniej prawdopodobne historyjki. Był obwieszony jak jabłoń w rok urodzaju. Ala wlazła mu na kolana. Zosia uczepiła się ramienia, Grażynka próbowała bezskutecznie wspiąć się na kark, Lucynka podskakując jak wróbel usiłowała zwrócić na siebie uwagę. Szczebiot, pisk — istne ptasie gniazdo. Starsze dziewczęta rzucały powłóczyste spojrzenia na załogę. Prym w tym sporcie zagarnęły jak zwykle nasze osławione „ninfy". Szkoda wielka, że to jedyny ich sport...

Sygnał. Zaterkotały motory. Ruszyliśmy. Pokład, a raczej metalowe dno statku pokryte smarem i wodą deszczową tworzyło wspaniałą ślizgawkę. Trampki i tenisówki dziewczynek rozjeżdżały się gwałtownie, zwykle w przeciwne strony. Nie obyło się bez pisków i gwałtownych wymachiwań rękoma dla utrzymania równowagi. Jako tako chodzić można było tylko na skórzanych podeszwach. W końcu jednak na wszelki wypadek wszyscy chodzili po chropawych zaczepach, gdzie normalny chód nie był połączony z niebezpieczeństwem upadku. Deszcz niestety dalej padał. Zacinał ze zmienną gwałtownością, ale ciągle i uparcie. O słońcu ani mowy.

Wypłynęliśmy z zalewu. Najpierw jednostka flagowa z chłopcami na pokładzie, potem nasza i ostatnia bez pasażerów. Odległość poszczególnych barek około pół kilometra. Z chwilą wydostania się za falochron zaczęło lekko kołysać. Utrzymanie równowagi na wytłuszczonym pokładzie należało do pewnego rodzaju ekwilibrystyki. Mewy towarzyszące nam od chwili opuszczenia portu zawróciły z powrotem. Zielony brzeg stawał się powoli mętno-granatowym pasem, aż po zmianie kursu o dziewięćdziesiąt stopni w lewo wyglądał jak nikłe sine pasemko. Takim go widzieliśmy już przez cały czas podróży. Po skręcie zyskaliśmy boczne ustawienie do fali, więc przechył automatycznie przybrał na intensywności.

To właśnie moment, w którym pewnej ilości dziewcząt poczyna być niewyraźnie. W kubryku robi się duszno i... w ogóle mętnie. Morska choroba należy do bardzo zaraźliwych. Spojrzysz na bladą i wykrzywioną twarz sąsiada i już tobie poczyna coś podjeżdżać do gardła. Jakoś dotychczasowe objawy nie należą do rzędu zbyt gwałtownych. Słabość, ból głowy, ściskanie w dołku — oto wszystko. Marynarze niezwykle troskliwie i serdecznie zajmują się chorującymi dziewczynkami. Usiłują zrobić wszystko, by im ulżyć.

Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności niedomagają tylko starsze dziewczęta. Maluchy na szczęście czują się doskonale. Śpiewają, słuchają opowiadań marynarza i świergolą bez przerwy. Podszedłem do nich. Mat mruga na mnie porozumiewawczo. Trzyma w objęciach chyba ze cztery „dziewuszyska" skrzeczące mu wprost do uszu „Kawalirów".

Ktoś z dolnej koi ciągnie mnie za łokieć. To Czu-Nok. Pełna, zawsze uśmiechnięta buzia jest teraz blada, usta skrzywione w podkówkę. Pomagam jej wydostać się spośród towarzyszek niedoli. Wychodzimy na pokład. Mała opiera mi głowę na ramieniu i głęboko wciąga wilgotne, nasiąknięte deszczem i słonymi bryzgami powietrze. Jednocześnie posłusznie patrzy w przeciwległy wlot do maszynowni, będący nieruchomym (w stosunku do pokładu) punktem. Powoli zwykły rumieniec wraca na zbielałe policzki.

— Jak tam — zapytuję.

— Już dobrze — odpowiada. Zaczyna się uśmiechać odsłaniając śnieżne, cokolwiek zbytnio do przodu wysunięte zęby. Jeszcze kilkanaście mocnych wdechów i wracamy. Ponieważ u Czu-Nok „kuracja powietrzna" dała zupełnie dobre wyniki, stosujemy ją powszechnie. Po upływie pół godziny grożąca nam nie na żarty epidemia morskiej choroby zostaje zlikwidowana.

Zły nastrój powoli mija. Dziewczęta zabierają się do śpiewu. A ponad wszystkim wystrzela bezapelacyjnie zdrowy i pełen wigoru okrzyk: „Jeść".

Z tym sprawa wcale nie najprostsza. Cały prowiant zabrała jednostka wiozącą chłopców. Usłużni marynarze przesyłają Morsem wiadomość do statku flagowego o gwałtownym zapotrzebowaniu na żywność. W odpowiedzi pytają nas o dokładny stan liczebny. Ulga. Więc nie zjedli wszystkiego, pamiętają o nas. Tylko kwestia w jaki sposób przetransportować podwieczorek. Załoga uśmiecha się tajemniczo. Bestie coś już wiedzą, ale nie chcą powiedzieć. Na pewno odebrali wiadomość, i skrywają z niewiadomych powodów. Widocznie jakaś niespodzianka.

Wkrótce sytuacja zostaje wyjaśniona. Z pokładu rozlega się wrzask: „Motorówka — Motorówka". Rzeczywiście. Maleńki stateczek tańcuje na falach pędząc w naszym kierunku. Dobija do burty. Kosze z jedzeniem windują w górę mocne ręce marynarzy. Na pokładzie zjawia się kierowniczka. „Przywiozłam podwieczorek — mówi wesoło. Odpowiada jej radosny okrzyk zgłodniałej zgrai. Jemy. Załoga częstuje kawą. Czu-Nok przynosi mi pełen kubek. Jest aluminiowy, więc pijąc parzymy sobie usta, co nie zmniejsza naszego dobrego humoru.

— Nawet wtedy nie podejrzewałem, że wszystkie te morskie perypetie będą zaczątkiem wielkiej mojej przyjaźni z Koreankami, a szczególniej z małą Czu-Nok.

Po zjedzeniu podwieczorku nastrój staje się wylewny. Co jednak potrafi zdziałać żołądek wypełniony chlebem z masłem i serem oraz podlany gorącą słodką kawą. Inaczej wszyscy patrzą na świat. Morze przestało być tak ponure, deszcz okazuje się wcale nie taki przykry, chmury niezbyt ołowiane, na kołysanie nie warto zwracać uwagi. Z jakiejś skrytki matros wydostaje czterdziestobasowy akordeonik i wygrywa na nim przeróżne melodie. Potem i ja próbuję.

W części zajętej przez malców niepokojąca cisza. I my także milkniemy. Mat opowiada widocznie coś niezwykłego i strasznego, bo widzimy tylko jego ręce wyciągnięte do góry jak ogromne macki. Dłonie kołyszą się i wyginają tajemniczo. Głos dudni ponuro, coraz ciszej i chrapliwiej. Mimowolnie przysuwamy się wszyscy bliżej. Słychać wyraźnie straszliwy szept bajarza: „I nagle zza lewej burty wyłania się olbrzymi, ośliźły, gruby jak komin „Batorego" — wąż"... Przerażone i nabrzmiałe grozą „och" wypełnia chwilę napiętej ciszy.

I nagle jedna z dziewczynek wybucha śmiechem. Za nią reszta. Czar prysł. Mat także się śmieje ukazując szereg równych, mocnych zębów. Przyznaję, że jestem nieco zły. Bardzo mnie ciekawiło, co sympatyczny marynarz powie dalej. Bajka była niewątpliwie improwizacją, a nieczęste są u nas morskie opowieści tworzone właśnie przez ludzi morza. I maluchy niemniej pewno po kryjomu żałują, że tak niefortunnie przerwano im słuchanie.

Z kolei śpiewają Koreanki. Mocne, ostre głosy, tak różne od tych, do których przywykło nasze ucho. I melodie inne. Pełne nie tylko egzotycznego czaru, ale i muzycznego piękna. Zupełnie odmienne od nużących w większości wypadków europejski słuch pieśni chińskich czy japońskich. Tu odczuwa się tylko inność melodyki, ale sam śpiew po prostu urzeka. Jest taka piosenka, za którą szalejemy wszyscy. I Koreańczycy i Polacy z naszej kolonii. Znalazłem ją w zbiorku koreańskich melodii. Tytuł „Wiosna". Trudno doprawdy słowami określić cudowną miękkość, wdzięk i świeżość tego utworu. Gdyby go wydać dodawszy doń dobre słowa nie ostałby się ani „Konik", ani „Marynika". Szturmem zdobyłby serca słuchaczy. (Nawiasowo wytłumaczę, że „Konika" i „Marynikę" wspomniałem tylko jako przykład popularności piosenki. Nie można ich sta-

wiać obok „Wiosny", która ma trwałe, nieprzemijające wartości).

Próbujemy śpiewać wraz z Koreankami. Przeszkadza nam jednak nieznajomość słów. A język Krainy Porannej Świeżości nie jest łatwy. To co u nas określa się jednym krótkim słowem, tam wymaga omal całego zdania (w naszym rozumieniu). Któż np. odważy się zapamiętać od razu, że „A-nia-hi-dzu-musip-si-o" oznacza po prostu „dobranoc".

Tymczasem poczyna zapadać zmrok. Na wybrzeżu co i raz rozbłyskują świecące punkciki. Wreszcie masa zbliżających się świateł. To port. Wpływamy. Barka flagowa stoi już przy nabrzeżu. Dobijamy do niej przy wtórze „Chociaż każdy z nas jest młody"... Nowy etap podróży zakończony. Deszcz uparcie siąpi.

Okrywam Czu-Nok połą skóry. Jest tylko w bluzeczce i trzęsie się z zimna, choć — naturalnie — mówi, że bardzo jej ciepło. Z trzaskiem opada pomost. Serdecznie żegnamy gościnną załogę jednostki i wychodzimy na ląd. Mat jeszcze oblepiony dzieciarnią. Wszystkie na raz chcą się z nim pożegnać. Podjeżdżają samochody. Jeszcze ostatnie okrzyki i kiwanie rękoma. Małe drą się jak opętane. Trzeba je przytrzymywać, bo wylecą z auta. Odjeżdżamy. Zagarniają nas kolejno ulice Świnoujścia. Portu już nie widać.

Czekała na nas herbata i chleb. Pośpiesznie jemy. Widzę, że dowództwo jest trochę zdezorientowane naszym późnym przyjazdem.

— Czekamy od piątej — śmieje się jeden z przewodników.

Zbiórka i idziemy pieszo mokrymi chodnikami. Wsiąkamy w jakiś park. Ciemno diabelnie. Gdyby nie przewodnik z latarką pogubilibyśmy się niechybnie. Po piętnastu minutach drogi dochodzimy do długiego drewnianego budynku. To tutaj.

Wchodzimy do środka, jak najciszej, ponieważ odbywa się wyświetlanie filmu. W pewnym momencie zapalają światło. Sala pełna. Megafon ogłasza: „Za dziesięć minut wystąpi zespół z Warszawy". Ładna historia. A tu stroje jeszcze nie rozpakowane. Pół godziny, to minimum. Idziemy szybko na scenę. Chyba największa z wszystkich, na których występowaliśmy. Ale to dobrze. W Hali Mirowskiej podobna, więc będziemy mieli świetny sprawdzian układu. Reflektorów nie ma. Światła tylko górne. Kilku marynarzy pomaga mi przesunąć pianino między kulisy. Sam instrument ogromny. Bez przesady — pierwszy raz widzę pianino o tak wielkiej skrzyni. Z drżeniem serca otwieram klapę. Pierwszy rzut oka — klawisze wszystkie. Uderzam parę akordów potem pasaż. To czego się obawiałem. Horendalnie rozstrojone. Czyżby na tym odcinku wybrzeża istniał tylko jeden przyzwoity instrument — w teatrze międzyzdrojowym? Każdy dźwięk rani uszy. Okropność! Już nawet gruchot przywieziony do Wisełki na okres prób jest lepszy. Przynajmniej można poznać co się gra. Tu nie wiadomo zupełnie o co chodzi. Wzdycham ciężko.

— Jak pianinko? — pyta ktoś z uśmiechem.

— Straszne!

— Współczuję — mówi wycofując się na widownię.

Jak przed każdym występem pośpiech i bieganina. Ta nie może znaleźć chusty, tamten krzyczy, że nie będzie tańczył, bo mu buty zginęły Jurek podchodzi do mnie z żałosną miną i pokazuje opłakany stan lewego buta.

— Ja mam w tym tańczyć? — Odsyłam go za kulisy, gdzie reperują „inwalidów".

Instruktorka zaniepokojona, bo nie jest pewna nowego układu krakowiaka, a czasu na próbę nie starczy. Przede wszystkim jednak denerwuje się obecnością na widowni rzeczoznawcy, który ma ocenić zespół przed ogólnopolskim festiwalem w Warszawie. Rzeczoznawca, a właściwie wizytatorka, przyjechała wraz z nami i ona to właśnie widząc próby w Wisełce radziła dodać jeszcze do dotychczasowego układu kilka figur, by uniknąć momentów statycznych. Rada bezwzględnie słuszna, ale pomysł wprowadzania zmian w układzie tańca — ćwiczonego od wielu miesięcy — na kilka dni przed występem w Warszawie, nie należy do zbyt genialnych. Takie rzeczy można robić z zespołem zawodowym, ale nie z dziećmi tańczącymi niespełna rok. Powstaje też pytanie dlaczego dopiero teraz przypomniano sobie o naszym zespole, choć ma on reprezentować stolicę kraju? Przecież tego rodzaju sprawy należało załatwić przed naszym wyjazdem na kolonię kondycyjną, a nie przy jej końcu.

Oklaski. Widownia poczyna się niecierpliwić. Jest już godzina dziesiąta. Nie mam zbyt różowych przeczuć co do poziomu dzisiejszego przedstawienia. Dzieci wyraźnie bardziej zdenerwowane niż kiedykolwiek (co prawda to zdenerwowanie dało świetny rezultat w Międzyzdrojach). Nic dziwnego. Trudno od nich wymagać dobrej formy po prawie pięciogodzinnej przejażdżce morzem, a przede wszystkim w porze, o której normalnie śpią.

Jednak kurtyna nieuchronnie idzie w górę. Zaczynamy. Ten półtoragodzinny akompaniament dał mi się jak nigdy we znaki. Próbowałem nawet nie słuchać własnej gry i myśleć o rzeczach nie mających nic wspólnego z tymi makabrycznymi tonami, jakie wydobywały moje palce.

Ale czyż można wyskoczyć poza krąg zakreślony ściśle tyłu i tyłu nawrotami melodii? Grozi to pomyłką, lub może i przerzuceniem się do innego tematu, a więc całkowitym zawaleniem tańca. Jeszcze tego by brakowało.

I tak utwory, które wykonywałem, dzieci rozpoznawały chyba tylko dzięki rytmowi i tym samym co zwykle ilościom nagromadzonych ćwiartek czy ósemek.

Krakowiak odtańczony został nadspodziewanie dobrze. Po prostu bez żadnej rażącej pomyłki. Za to chór dostroił się widocznie do pianina. Gdybym mógł, wskoczyłbym z chęcią pod scenę zamiast kiwać tułowiem przed publicznością. Jeszcze tylko Koreanki dobrze wykonały „Taniec żołnierski". Ich śpiew jednak także wypadł słabiutko. Za wysoko rozpoczynały i w górnych partiach następowało załamanie się głosu. „Oberek" był niestety cieniem żywiołowego tańca, jaki dziewczęta pokazały na eliminacjach warszawskich. A już co się działo w „Suicie Kurpiowskiej", strach opisać. Pomijając wspaniałą atrakcję przy końcu „Olendra" i w całej „Starej babie" — klapiący ze spokojną równomiernością rozwiązany bucik Krysi, co wzbudzało wprost entuzjazm widowni — młodsza gru-

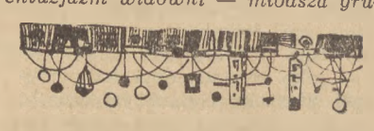

pa po prostu nie dopisała kondycyjnie. Spać im się chciało i koniec, chociaż może nie zdawali sobie z tego sprawy podekscytowani bądź co bądź samym faktem tańczenia.

Na zakończenie przemówił przedstawiciel marynarki dziękując „za piękny występ". Oklaski. Z pewnością dzieci wspomniały wtedy żywiołowy entuzjazm międzynarodowej publiczności w Międzyzdrojach, czy marynarzy w Białej Górze. Ale wtedy tańczyły inaczej.

U wyjścia zaczepił mnie referent kulturalno-oświatowy. „Nie spodziewałem się, że wasze dzieci potrafią tak tańczyć. Ileż można zrobić w ciągu tylko jednego roku" — mówił rozpromieniony, potrząsając moją ręką. Spojrzałem na niego zaskoczony. Mnie się przecież wydawało, że to była generalna klapa. Oddałem mu mocno uścisk.

Zrozumiałem. Nawet i ten występ nie poszedł na marne.

Janusz Kozłowski

JANUSZ DUNIN

Fraszki

Sicher ist sicher

Ten „przejrzał" już ankiet ukryte haczyki
I zna personalnych czar pytań zdradziecki,
Ilekroć wylicza znane mu języki
Nie zapomni dodać, że w s c h o d n i o - niemiecki.

O Epigrammie

Epigramm pszczołę na umysł przywodzi,
Takiż on drobny, takież miody rodzi,
Takoż jak pszczoła ma w końcu ukryte
żądło jadowite.

KILKA SŁÓW

o teatrze

„WIĘZY PRZYJAŹNI"

— pod tym tytułem umieściła „Litieraturnaja Gazieta" w nr 110 artykuł dyrektora Teatru Polskiego Br. Dąbrowskiego, podkreślający znaczenie występów tego teatru w Związku Radzieckim. Teatr warszawski jest pierwszym dramatycznym teatrem, który przyjeżdża do ZSRR z krajów demokracji ludowej. Pragnie on ukazać radzieckiemu widzowi główne linie powojennego polskiego repertuaru teatralnego. Stąd przede wszystkim reprezentowana jest przezeń narodowa klasyka („Mąż i Żona", „Lalka") i twórczość współczesna („Juliusz i Ethel", „Takie czasy"). Ponadto „Wujaszek Wania" Czechowa i „Obcy cień" Simonowa ukazują polski styl wystawiania sztuk rosyjskich, a „Cyd" Corneille'a w transpozycji Wyspiańskiego — interpretację klasyki światowej. Spektakle składane zaznajomią z fragmentami granych przez Teatr Polski dzieł Słowackiego, Fredry, Żeromskiego, oraz Gribojedowa, Gogola, Ostrowskiego, Gorkiego. W wieczorach estradowo-koncertowych zespół prezentuje ponadto utwory poetyckie Mickiewicza i Puszkina, Brontewskiego, Majakowskiego, Tuwima, Gałczyńskiego i in. W Moskwie daje Teatr Polski począwszy od 25 września w ciągu 10 dni — 11 spektakli, w Kijowie zaś występować będzie od 8—18 października.

o plastyce

SCENY Z ŻYCIA NAJŚW. MARYI PANNY W OBRAZACH EUROPEJSKICH MISTRZÓW

W Stołecznym Muzeum Sztuki w Londynie otwarto ostatnio wystawę obrazów, które przedstawiają sceny z życia Matki Boskiej opisane w Piśmie św., w Złotej Legendzie i innych apokryfach.

Jednym z najbardziej interesujących dzieł jest malowany na emalii obraz pochodzący ze szkoły francuskiej w Limoges z XVI w. Przedstawia on wychowanie Najświętszej Maryi Panny, scenę Zaślubin, a następnie Zwiastowanie.

Pokazano na niej także obrazy Ghirlandaia Fra Angelico i Gerarda Davida oraz płótna ze szkoły Filippo Lippi i Rubensa. Jednym z najbardziej uderzających malowideł jest dzieło włoskiego artysty pochodzenia greckiego Ioannes Mokosa przedstawiające Chrystusa przyjmującego duszę Najświętszej Maryi Panny do nieba w postaci małego dziecka.

OD CEZANNE'A DO PICASSA

W Sztokholmie otwarta została wystawa sztuki francuskiej pt. „Od Cezánne'a do Picassa". W kolekcji malarstwa francuskiego — obejmującego okres od drugiej połowy 19 wieku do naszych czasów — znajduje się m. in. obraz Cezánne'a z r. 1874 — o istnieniu którego świat artystyczny dotychczas nie wiedział.

Obraz ten nie jest zresztą jedyną rewelacją ciekawej, wzbudzającej duże zainteresowanie wystawy. Między 510 dziełami jakie na wystawie zgromadzono — znajduje się również obraz F. Legera z okresu I-szej wojny światowej, namalowany na wieku od skrzyni po nabojach, — który szwedzcy przyjaciele malarza przechowali z wielką troskliwością i obecnie udostępnili publiczności. Poza tym wymienić należy ciekawy obraz Utrilla „Kościół w Montigny".

ODKRYCIA MALARSKIE W REJONIE SAHARY

W ostatnich tygodniach udostępniono w Paryżu do publicznego obejrzenia szereg malowideł odkrytych przez francuskie ekspedycje na terenie Sahary. Malowidła te, pochodzące z różnych epok, sięgają w niejednym wypadku okresu neolitu i świadczą, że już wtedy na miejscu, dzisiejszych piasków mieszkały zespoły ludzi o stosunkowo wysokim stopniu kultury. Treścią tych malowideł jest głównie człowiek i jego życie, a więc sceny rodzinne, polowania itp. Odkrycia te pozwoliły francuskim uczonym snuć najróżniejsze hipotezy, których sprawdzenie przyniosłoby niejedną korekturę w dotychczasowych sądach historycznych, geograficznych, socjologicznych, a przede wszystkim rzuciłoby nowe, ciekawe światło na historię kultury i sztuki europejskiej.

o filmie

„SOL ZIEMI" W LONDYNIE

Postępowy film amerykański „Sól ziemi", który jak wiadomo otrzymał pierwszą nagrodę na Festiwalu w Karlovych Varach spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem w Londynie. O tym że publiczność angielska pragnie prawdziwych filmów o Ameryce, a nie przesłodzonych obrazów hollywódzkich świadczy chociażby notatka zamieszczona w konserwatywnym „Timesie". Autor jej pisze między innymi: „Na ogół amerykańskie filmy chcą udowodnić, że świetnie dzieje się w Stanach Zjednoczonych i że najlepszy jest amerykański styl życia (...) W filmie jednak nakręconym przez Bibermana i Herberta Amerykanie przedstawieni są jako brutalni ciemiężcy, którzy dbają jedynie o zabezpieczenie swych własnych, materialnych interesów".

„ZŁOTO NEAPOLU"

Znany reżyser włoski Vittorio de Sica zakończył realizację swego nowego filmu „Złoto Neapolu". Film opracowany na podstawie opowiadań włoskiego pisarza Marotty składa się z sześciu epizodów i daje poprzez szereg charakterystycznych scenek rodzajowych i wziętych z powszedniego, codziennego życia — obraz prawdziwego, nie zafałszowanego „kolorowym szkiełkiem" — Neapolu.

I tak np. bohaterką jednego z epizodów jest typowa dla neapolitańskiego folkloru postać tzw. „pizzaoli", kobiety wypiekającej i sprzedającej obwarzanki. Inny — ukazuje pogrzeb dziecka z ubogiej rodziny. W jednym z epizodów występuje sam de Sica w roli starego, zbiedniałego arystokraty tracącego w grze hazardowej ostatnie pieniądze. Vittorio de Sica mówi o swym nowym filmie: „Chciałbym pokazać Neapol, miasto „turystyki i folkloru" w całej prawdzie jego powszedniego życia, uśmiechu i płaczu, doli i niedoli".

POWODZENIE FILMU „MAZOWSZE" W ANGLII

Z okazji otwarcia sezonu baletowego w „National Film Theatre" w Londynie odbył się pokaz filmu prod. polskiej „Mazowsze". Zebrani licznie na tym pokazie fachowcy i „spece" sztuki baletowej wyrażali się z wielkim uznaniem zarówno o samym zespole pieśni i tańca — jak i o filmie. Królewska Akademia Tańca zwróciła się do Instytutu Kultury Polskiej w Londynie z prośbą o pełną wersję polską tego filmu celem wyświetlenia jej podczas jubileuszowej uroczystości wręczenia nagród za osiągnięcia w dziedzinie choreografii.

NOWY FILM LAWRENCE OLIVIERA

Znany reżyser i aktor filmowy, Lawrence Olivier, który zekranizował kilka dramatów Szekspira pracuje obecnie nad realizacją filmową jednego z największych dzieł genialnego dramaturga, a mianowicie „Ryszarda III". W filmie tym, podobnie jak i w niektórych poprzednich szekspirowskich filmach kreuje Olivier rolę tytułową. W roli Clarence'a wystąpi John Gielgud, Buckinghama — Ralph Richardson, Lady Anne — Claire Blomm. W pozostałych rolach wystąpią znani z wielu filmów oglądanych na polskich ekranach wybitni aktorzy angielscy. Wiadomość o realizacji tego filmu wywarła duże zainteresowanie zarówno wśród filmowców jak też w szerokich kołach wielbicieli X Muzy.

o wszystkim

IV ZJAZD PISARZY NIEMIECKICH

W najbliższym czasie odbędzie się w NRD IV Zjazd Pisarzy Niemieckich. Prezydium Związku Literatów zatwierdziło już porządek obrad. Główny referat wygłosi Johannes R. Becher na temat: „Wielkość literatury niemieckiej". Koreferaty: Werner Ilberg „Literatura w Niemczech zachodnich po drugiej wojnie światowej — jej tematyka i problemy" oraz Franz Führman: „Literaccy przestępcy wojenni". Drugi referat na temat „Obecny stan i zadania literatury w NRD" wygłosi Kuba (Kurt Bartel). I do tego referatu przewidziane są koreferaty. Alfred Kurella będzie mówił „O zawodzie pisarza", Edward Claudius: „O pisarskiej odwadze wobec prawdy". Jurij Brezan na temat: „Nowi ludzie w naszej literaturze". Kurt Stern: „O konflikcie w literaturze", F. C. Weiskopf „Nędza i blask naszego języka literackiego", Erich Arendt: „Przekład jako osiągnięcie literackie" i Günther Cwojdrak: „Stan i zadania naszej krytyki literackiej". Trzeci referat zasadniczy na temat „Praca Związku Literatów Niemieckich — bilans i perspektywy" wygłosi Gustaw Just. Inne referaty podzielone zostały między poszczególne sekcje Związku, gdzie będą się toczyły obrady nad stanem obecnym i zadaniami niemieckiej liryki, prozy i literatury młodzieżowej, dramaturgii, przekładów i filmu. O zmianach w statucie Związku mówić będzie Harald Hauser. Po wyborach nowego prezydium i nowej komisji rewizyjnej głos zabierze na koniec przewodnicząca Związku Anna Seghers.

„MAZOWSZE" WYJECHAŁO DO FRANCJI

Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca pod kierunkiem prof. Sygietyńskiego wyjechał na gościnne występy do Francji. Zespół da kilkanaście spektakli w Paryżu w sali Palais de Chaillot oraz wystąpi dla Polonii Francuskiej w północnym okręgu Francji w Lille i Nancy. Na program występów złożą się pieśni i tańce regionów kurpiowskiego i opoczyńskiego oraz nowoopracowywane przez Zespół pieśni i tańce łowickie.

Niespodzianką dla publiczności będzie kilka popularnych piosenek z repertuaru „Mazowsza" śpiewanych po francusku, m. in. „Kukułeczka" oraz „To i hola". Piękne stroje łowickie, w których Zespół wystąpi we Francji zaprojektowała Mira Zimińska. Nowe tańce łowickie opracował Jerzy Kaplinski.

WIZYTA ARTYSTÓW RADZIECKICH W WIELKIEJ BRYTANII

W ramach tegorocznego miesiąca pogłębienia przyjaźni angielsko-radzieckiej ekipa artystów radzieckich uda się w listopadzie do Wielkiej Brytanii z oficjalną wizytą. W skład delegacji radzieckiej wchodzą m. in. znany kompozytor Aram Chaczaturian i pisarz Leonid Leonow. Artyści radzieccy wystąpią w Anglii z szeregiem koncertów i wieczorów autorskich, które według opinii różnych odłamów prasy brytyjskiej przyczynią się niewątpliwie do zacieśnienia kulturalnych stosunków pomiędzy obu krajami.